



BALUCH BARAN
CYGANIK
GIZELLA JASICKI
KAWIŃSKI
KORNHAUSER
LISOWSKI
MAJ MOCZULSKI
PIĄTKOWSKI
STABRO SZLAGA
SZYMAŃSKA
ŚLIWIAK TORBUS
WARZECHA
ZECHENTER-SPŁAWIŃSKA
ZIEMIANNIN

POECI KRAKOWA
Antologia

POECI KRAKOWA
Antologia

Rada Programowa serii Poeci Krakowa:

Stanisław Dziedzic, Janusz M. Paluch, Tadeusz Skoczek

Recenzent naukowy: prof. dr hab. Piotr Borek

Wybór wierszy i wstęp: Marek Karwala



KRAKÓW 2018

BALUCH BARAN
CYGANIK
GIZELLA JASICKI
KAWIŃSKI
KORNHAUSER
LISOWSKI
MAJ MOCZULSKI
PIĄTKOWSKI
STABRO SZLAGA
SZYMAŃSKA
ŚLIWIAK TORBUS
WARZECHA
ZECHENTER-SPŁAWIŃSKA
ZIEMIANNIN

POECI KRAKOWA
Antologia

WSTĘP I WYBÓR WIERSZY
MAREK KARWALA

Kraków „dał im skrzydła”

Ta tytułowa parafraza zwrotu wziętego z *Pieśni X (Ksiąg pierwszych)* mistrza z Czarnolasu zdaje się dobrze oddawać istotę rzeczy, chodzi bowiem o poetów, których wiersze wyrosły na krakowskiej glebie... Właśnie – wiersze, bo przecież najczęściej nie oni sami. Ich życiorysy mogłyby być niejednokrotnie kanwą interesującego scenariusza; przybyli do królewskiego grodu z rozlicznych zakątków naszego kraju (także z kresów dawnej Rzeczypospolitej) z powodu uwarunkowań rodzinnych, po naukę i z wielu innych przyczyn, a skosztowawszy wody z bijącego tu lirycznego Hippokrene, sięgnęli po pióra. Zwykło się mawiać, że Kraków promieniuje niepowtarzalną magią, że zachęca do kreatywności, że stąpanie po jego historycznych brukach i przemieszczanie się pośród kamienic, z których niemal każda skrywa jakąś tajemnicę..., krótko mówiąc – poddanie się jego urokowi i niepowtarzalnemu *genius loci* czyni z otwartego, wrażliwego człowieka istotę twórczą, „daje mu skrzydła”.

*

Aby artysta mógł zaistnieć, aby jego utwory posmakowały „drukarskiej oliwy”, aby mógł poprzez teksty spotkać się z czytelnikiem – potrzebuje na swej drodze napotkać najpierw kogoś, kto umożliwi mu tę peregrynację. Twórczość autorów obecnych w tym almanachu jest nieobca zarówno znawcom poezji, jak i jej miłośnikom, zostały tu bowiem zgromadzone wiersze poetów reprezentujących, co prawda, różne pokolenia, ale nikogo nie dałoby się zaliczyć do literackiej „młodzieży”. Każda jednak spośród tych postaci kiedyś debiutowała i stop-

niowo zyskiwała należne jej miejsce w literackiej przestrzeni Krakowa. Tak się złożyło, że właśnie w tamtym czasie zrodziła się idea uruchomienia serii wydawniczej Poeci Krakowa, której zadaniem miało być publikowanie wyborów liryki najlepszych i wyróżniających się krakowskich twórców. Ojcami chrzestnymi tej idei byli: Stanisław Dziedzic – dyrektor Wydziału Kultury w Urzędzie Wojewódzkim Miasta Krakowa, Janusz M. Paluch – dyrektor Śródmiejskiego Ośrodka Kultury (ta instytucja „wzięła na siebie” trudy edycji kolejnych tomów) oraz Tadeusz Skoczek – działacz w sferze kultury i krytyk literacki. Wymieniona trójca stanowiła redakcję serii Poeci Krakowa, przemianowaną w 2010 roku na Radę Redakcyjną. W 1995 roku idea edytowania Poetów Krakowa została zainaugurowana mocnym akcentem, jako że wtedy ukazały się aż trzy tomiki – Krzysztofa Lisowskiego, Stanisława Stabry i Adama Ziemiańskiego. Później opublikowano jeszcze wybory wierszy szesnastu poetów, a ostatni ujrzał światło dzienne w 2014 roku (utwory Tadeusza Śliwiaka wydane w dwudziestą rocznicę śmierci poety). Dla porządku warto przypomnieć lata, w których ukazywały się kolejne edycje pomiędzy wskazanymi datami granicznymi: Jerzy Piątkowski, Andrzej Warzecha (1998), Józef Baran (2000), Henryk Cyganik (2004), Aleksander Jasicki, Krystyna Szlaga, Andrzej K. Torbus (2006), Bronisław Maj, Leszek A. Moczulski (2007), Wojciech Kawiński, Elżbieta Zechenter-Splawińska (2008), Julian Kornhauser, Beata Szymańska (2009), Jerzy Gizella (2010), Alicja Baluch (2013).

Przez kilkanaście lat funkcję redaktora prowadzącego pełnił Janusz M. Paluch, a ostatnie trzy wybory przygotowała od tej strony Anna Gregorczyk. Kolejne edycje były opatrywane kompetentnymi wprowadzeniami, które pisali zarówno historycy literatury, krytycy literaccy, jak i poeci przywdziewają-

cy nierzadko także szaty krytyków (Alicja Baluch, Stanisław Burkot, Janusz Drzewucki, Stanisław Dziedzic, Bolesław Faron, Marian Grześczak, Julian Kornhauser, Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski, Bronisław Maj, Jan Mrzygłodzki, Eryk Ostrowski, Jan Pieszczachowicz, Tadeusz Skoczek). Czworo spośród dziewiętnastorga poetów wkroczyło już – by przywołać określenie Czesława Miłosza – do „drugiej przestrzeni” (Krystyna Szlaga, Tadeusz Śliwiak, Henryk Cyganik; całkiem niedawno, bo w grudniu 2017 r., podążył tym traktem Leszek A. Moczulski).

*

Prezentowany almanach gromadzi wiersze – jak już zostało powiedziane – dziewiętnastorga autorów, których wybory liryki były wcześniej publikowane w ramach serii wydawniczej Poeci Krakowa. Zostało tutaj zamieszczonych po pięć wierszy, jakie ukazały się w tamtych edycjach, oraz po jednym napisanym później (z wyjątkiem zestawów Krystyny Szlagi i Henryka Cyganika). Utwory zostały tak dobrane, aby reprezentowały zarówno dominujące spektrum tematyczne w dorobku każdego z twórców, jak i charakterystyczne dla niego rozwiązania formalne oraz stosowane przezeń środki artystycznego wyrazu.

Spróbujmy, zachowując porządek alfabetyczny, opatrzyć krótkimi komentarzami dorobek każdego z zaprezentowanych tu poetów. I tak w przypadku Alicji Baluch – niegdyś nauczycielki, później adiunkta i w końcu profesora historii literatury – warto pamiętać, że jej debiut trudno byłoby zaliczyć do wczesnych. Nie znaczy to bynajmniej, że literaturę zaczęła uprawiać w wieku dojrzałym, ale dopiero wtedy zechciała (odważyła się?) ją ujawnić. Określenie „odważyła się” z pewnością nie jest bezzasadne, jako że nawet dzisiaj, gdy twórcy spod znaku

poeta doctus nie stanowią wyjątków, rozbudowana świadomość historycznoliteracka niekiedy może piszących onieśmielać lub czynić nadmiernie samokrytycznymi. Trudno jednoznacznie wyrokować, czy ten mechanizm zadziałał w jej przypadku, ale przypuszczenia takie wydają się uzasadnione. Urodzona we Lwowie poetka wiele utworów poświęciła temu miastu, do którego po wojnie mogła dotrzeć dopiero po 1956 roku; drugim jej ukochanym miastem stał się Kraków, a przywiązanie doń manifestuje autorka niejednokrotnie. W jej emocjonalnych, ale też nierzadko erudycyjnych wierszach uważny czytelnik dostrzeże rozliczne gry intertekstualne, rozważania filozoficzne, koncentrowanie się na relacjach pomiędzy sferą *sacrum* a przestrzenią *profanum*, rozważania ekfrastyczne. Te ostatnie są zapewne nie tylko wynikiem własnych zainteresowań Alicji Baluch sztukami pięknymi, ale też śladem atmosfery domowej, w jakiej dorastała – jej matka malowała, a ojciec zabierał córkę do muzeów, gdzie wyjaśniał jej meandry sztuki^[1].

Wielu spośród tych, którzy zajmowali się twórczością liryczną Józefa Barana, zwykło ją określać mianem „poezja serca”, podążając w ten sposób ścieżką wyznaczoną przez Artura Sandauera, który pierwszy wskazał na ten emocjonalny adres, który słusznie uchodzi za odkrywcę tej poezji i którego Baran do dzisiaj uważa za swego mistrza. Niektórzy badacze próbowali umieszczać tę poezję w tak zwanym nurcie chłopskim, ale to rozpoznanie okazało się li tylko powierzchowne. Owszem, poeta odwołuje się do swej rodzinnej, małopolskiej wsi Borzęcin, traktuje ją z szacunkiem, ba – niemal z pietyzmem, ale stanowi ona dla niego rodzaj pryzmatu, przez który stara się oglądać cały

wielki świat (metaforycznie i dosłownie) z jego uniwersalnymi problemami. Inni krytycy wspominali o „lustrze”, które Józef Baran stawia przed obliczem swoich czytelników i pozwala im w ten sposób obejrzeć siebie takimi, jakimi są w istocie^[2]. Trudno byłoby nie zgodzić się z tym stanowiskiem, a skoro tak, to od razu można zrekonstruować na tej podstawie bogaty diapazon tematów goszczących w tej liryce, tak rozległy – jak rozległe są ludzkie uczucia, rozterki egzystencjalne, metafizyczne, wpływy i wykluczenia pomiędzy naturą i cywilizacją... Tajemnicą Józefa Barana jest to, że gdy mówi o sprawach z pozoru powszechnie znanych i przez wielu doświadczanych, to przecież potrafi nadać im rys świeżości, odkrywać jakby na nowo nieznane w znanym, a posługuje się w tym celu zestawem środków artystycznego wyrazu, które – zachowując swą szlachetność – czynią zarazem niejako przystępniejszymi poruszane kwestie, niejednokrotnie do łatwych nienależące. Na osobną uwagę w tym dorobku zasługują te utwory, które doczekały się umuzyycznienia i funkcjonują jako piosenki wykonywane między innymi przez: Beatę Paluch, Hannę Banaszak, Jakuba Pawlaka, Elżbietę Adamiak czy zespół Stare Dobre Małżeństwo, by wymienić tylko tych najbardziej znanych.

Posiadacz rozlicznych talentów – Henryk Cyganik – był słusznie nazywany „człowiekiem renesansu”, jako że udzielał się w różnych sferach życia artystycznego, kulturalnego i społecznego. Taki jego portret nakreślił Tadeusz Skoczek:

Osobowość, twórca, nazwisko. Postać popularna w krakowskim teatrze, kabarecie, w radiu i telewizji, znany felietonista,

[1] Por. E. Ostrowski, *Słowo wstępne*, w: A. Baluch, *Jutro odlot! Liryka rozłączenia, rozstania, odejścia*, Kraków 2013, s. 7–8.

[2] Por. B. Faron, *Przedślowie*, w: J. Baran, *Pod zielonym drzewem życia*, Kraków 2000, s. 7–9.

autor piosenek. Brat-lata podziwiany w wielu środowiskach twórczych i intelektualnych, organizator imprez społecznych i kulturalnych. Bystry obserwator aktywności młodych literatów, plastyków, aktorów. Mecenasek kabaretów wiejskich, poetów, rzeźbiarzy. Nazywany przez wszystkich po prostu – Henio^[3].

Cyganik pozostawił po sobie obfity dorobek literacki, którego znaczącym fragmentem jest twórczość poetycka (pisywał także bajki dla dzieci, teksty kabaretowe, sztuki teatralne, opowiadania, piosenki, gawędy realizowane gwarą, reportaże). Debiutował późno (1989) zapewne z powodu dystansu, jaki przejawiał w stosunku do własnych wierszy, i pokornego usposobienia, które nie budowało presji publikowania, ale jego pierwszy tomik okazał się bardzo interesujący i rychło pojawiły się następne. Poeta urodzony w podhalańskiej wsi Maniowy był piewcą gór i życia za pan brat z naturą, która przemawiała do niego językiem swoistej metafizyki. Przewijające się w jego wierszach *sacrum* zwykle nie ma adresów instytucjonalnych, lecz wyłania się z relacji ze Stwórcą, który napisał do ludzi list, a jego literami, wyrazami i całymi rozdziałami są elementy natury, wystarczy tylko umieć to przesłanie czytać i rozumieć – zdaje się mówić poeta. Miłość do osób najbliższych i do świata, dobroduszny humor, satyryczne widzenie spraw jedynie z pozoru ważnych, autoironia, nostalgia – zdają się dopełniać konterfekt poety.

Pierwsze poetyckie tomy Jerzego Gizelli zaczęły się ukazywać w drugiej połowie lat siedemdziesiątych i już wtedy ich autor dał się poznać jako postać wyrazista,

mówiąca niejednokrotnie mrocznym głosem swego pokolenia. Klasycyzujące rozwiązania formalne, jakkolwiek nie odeszły zupełnie w zapomnienie, to jednak ustąpiły później miejsca wierszom realizowanym wedle poezjowania zwanego niezbyt szczęśliwie „wolnym”, ale cechą, którą zachował poeta do dzisiaj – jako jeden z głównych swoich znaków rozpoznawczych – jest erudycyjność lirycznych wypowiedzi. Autor słowa wstępnego do wyboru wierszy Gizelli celnie charakteryzuje jego warsztat:

Składnia tej poezji, bardzo bliska zwyczajnej prozie, często podobna do potocznego języka, jakim się posługiwano – z typową wieloznaczną ironią, z sarkazmem (...), ze sztuką aluzji, potrzebną pierwotnie w zmaganiach z cenzurą, przerobioną w literaturze na sztukę stylu, metajęzyk. (...) kategoryczność ocen, ironia (...) polemika i sarkastyczne oceny naszej najnowszej historii to podstawowe cechy tej twórczości. Jest to poezja niejednolita, wielowątkowa, klasycystyczno-lingwistyczna, ale też pełna romantyzmu. Ironia i autoironia na przemian z nostalgicznymi wspomnieniami młodości, nieprzystosowanie do życia tu i tam – to cechy wielu przedstawicieli naszej inteligencji, naszego społeczeństwa^[4].

Warto przypomnieć, że Jerzy Gizella był jednym ze współzałożycieli i członkiem poetyckiej grupy „Tylicz”, ale przyszłość miała pokazać, że w sensie ideowym bliższy dla niego okazał się program Nowej Fali w wydaniu grupy „Teraz” (m.in. impertyw mówienia wprost, obnażania wszelkiego fałszu w życiu społecznym i politycznym, autentyczność scen i postaci, kolokwialny lub metakolokwialny język).

[3] T. Skoczek, *Fanatyki słowa*, w: H. Cyganik, *Święty azyl*, Kraków 2004, s. 5.

[4] T. Skoczek, *Zjadliwy romantyk*, w: J. Gizella, *Sytuacje bezgraniczne. Wybór wierszy*, Kraków 2010, s. 9, 13, *passim*.

Alicja Baluch zauważa, iż każdy poeta dysponuje własną sekwencją obrazów, świadczącą o jego światoodczuciu i odmienności. Odnosząc to spostrzeżenie do poezji Aleksandra Jasicckiego, stwierdza, że w jego wierszach tymi obrazami są: miasto, góry i ludzkie ciało^[5]. W istocie tak właśnie jest – Jasiccki, jako krakowianin z urodzenia, wiele wierszy poświęcił swemu rodzinnemu miastu (Zwierzyniec, Salwator, historyczne kopce, Wisła, Rudawa i in.). Ma też poeta swą drugą „małą ojczyznę”, do której często wyjeżdża i gdzie spędza całe miesiące – ustronne miejsce w Bieszczadach. Tam żyje w harmonii z naturą i realizuje swą drugą obok poezji główną pasję – rzeźbienie w drewnie. Jeśli zaś chodzi o obrazy ciała, to dominuje w tych wierszach somatyczność kobieca, a miejscem jej realizacji są erotyki. Osobną uwagę poświęca poeta własnemu ciału (choć nie ono jest wtedy najważniejsze) w wierszach szpitalnych, będących opisami dramatycznego zmagania się z chorobą nowotworową. Dylematami egzystencjalnymi dzieli się z czytelnikiem, podając je w oprawie groteski, autoironii, a nierzadko też satyry.

Wojciech Kawiński nie zaliczał się nigdy do czołówek najpopularniejszych polskich autorów, ale też o tę popularność nie zabiegał, koncentrując się raczej na pozytywistycznym trudzie uprawiania poezji wolnej od modnych wzlotów, lecz chcącej być nade wszystko dobrą i erudycyjną. Być może jest to wynik niegdyśszej współpracy Kawińskiego z Orientacją Poetycką „Hybrydy”, która właśnie takie klasycyzujące cele sobie stawiała. W obliczu agresywnej, postmodernistycznej magmy, w obliczu świata pojmowanego jako przestrzeń zde-

komponowana, chaotyczna – poeta stara się zachować do tej nowej „aksjologii” zdrowy dystans, umiar i ustalić wartości pewne, pośród których wymienia przyjaźń, godność, miłość, odpowiedzialność, niezbywalne piękno realizowane przez sztukę. Tak to ujmuje Jan Pieszczachowicz:

Jego poezja stanowi głos jednostki uwikłanej w sieć konieczności, przymusu społecznego, uwarunkowań natury ludzkiej i zakamarków ludzkiej kondycji – w aurze melancholii, za pomocą sarkazmu, odruchu gniewu, w poczuciu własnej bezsilności. Poeta wymaga od siebie mimo wszystko dzielności. Pragnie nie tyle zagrozić drogę nicości, bezustannie się powiększającej, ile zachować stoicyzm wobec nieuchronności rzeczy i zdarzeń. (...) Bohaterowi lirycznemu towarzyszy poczucie obowiązku godnego przetrwania i wytrwania, trudnego przymierza z przeznaczeniem, iskra nadziei we mgle i ciemności^[6].

Odpowiedzi Kawińskiego na egzystencjalne dylematy (czytaj: zagrożenia) nie są ani łatwe, ani tym bardziej oczywiste. Dzieli się on uczciwie, niekiedy wręcz dramatycznie, z czytelnikiem swoimi rozlicznymi wątpliwościami, ale jedną z większych wartości jego wierszy jest umiejętność formułowania problemu, być może również zakodowana pomiędzy wersami, chociaż niezwerbalizowana, zachęta do wspólnego, solidarnego przeciwstawiania się szeroko rozumianemu złu.

Współtwórcą programu i jednym z głównych przedstawicieli krakowskiej nowofalowej grupy poetyckiej „Teraz” był Julian Kornhauser. Głośnym echem odbiła się napisana

[5] Por. A. Baluch, *Odbieranie poezji*, w: A. Jasiccki, *Lista ginących gatunków*, Kraków 2006, s. 5.

[6] J. Pieszczachowicz, *W bólu nadzieja*, w: W. Kawiński, *Dwa lata wierszy*, Kraków 2008, s. 6–7, *passim*.

przezeń wespół z Adamem Zagajewskim książka *Świat nie przedstawiony* (1974), zawierająca teksty programowe grupy. Młodzi poeci, a zarazem krytycy nawiązywali do tradycji awangardowej, zaś bliskim poetą jawił się im Tadeusz Peiper. Przy całym zróżnicowaniu wewnątrzgrupowym wszyscy zgadzali się co do jednego – należało doprowadzić do odnowienia języka poetyckiego. Stanisław Burkot zauważa:

Z nieufności do metafory (...) rodzi się przeświadczenie o potrzebie wiarygodności w nazywaniu zjawisk codziennego życia, takiego, jakie ono jest, nie poddanego mistyfikacjom i metaforycznym przekształceniom. Konsekwencją tego założenia był postulat uczestniczenia poezji („sztuki poetyckiej”) w kształtowaniu świadomości zbiorowej, wkraczanie „emocjonalne” w społeczno-polityczne i kulturalne „teraz”. (...) Liryka apelu, wezwania, rodziła się ze szlachetnych przeświadczeń o społecznym posłannictwie poezji, wyznaczała obowiązki poety – „uczestnictwa”, ale towarzyszyła mu od początku niepewność, a nawet zwątpienie^[7].

Skąd brało się owo zwątpienie? Otóż po zamknięciu epoki „naszej małej stabilizacji”, po dojściu do władzy ekipy Edwarda Gierka, wielu mogło się łudzić, że nastanie teraz „nowe” i „lepsze”, ale nadzieje prysły już w połowie lat siedemdziesiątych. To wtedy zaczęły się rozpadać grupy nowofalowe, a skupieni w nich wcześniej poeci podążali własnymi torami. Taki los spotkał również grupę „Teraz”. Julian Kornhauser z programotwórcy, a potem dzielnego propagatora przyjętych idei, stop-

niowo przemieniał się w poetę indywidualnego, osobnego. Pokolenie Nowej Fali na pewien czas utraciło nadzieję, dla ojczyzny nastawał trudny okres, a za kilka lat miał nadejść jeszcze trudniejszy, lecz te trudy codzienności okazały się pożywką dla samej sztuki poetyckiej, która towarzyszyła najpierw mrocznym latom stanu wojennego, a później akompaniowała odzyskanej wolności. Głos Juliana Kornhausera należał w tym chórze do najbardziej wyrazistych.

Z kolei twórczość poetycka Krzysztofa Lisowskiego wpisuje się do głosów – chciałoby się rzec – ważnych i zarazem poważnych. Poety nie interesują sprawy błahe, lecz te z kręgu rudymenarnych, zdaje się on bowiem wypełniać istotną misję tak w odniesieniu do innych ludzi, jak i do siebie samego. Celnie zauważa to Janusz Drzewucki:

Etycznym obowiązkiem człowieka pozostaje obrona podstawowych wartości, takich jak prawda, ufność, wierność, a nade wszystko utrzymywanie pełnej gotowości moralnej do przyjęcia najdonioślejszych zobowiązań wobec siebie i bliźniego. Nie dziwi więc, że w utworach Lisowskiego tak dobitnie została zaakcentowana obecność adresata lirycznego (niekiedy jest nim sam mówiący podmiot) i jeszcze bardziej obecność tego trzeciego. „On” jest poza wszystkim ciągłym świadkiem naszych słów i czynów. (...) „On” jest nauczycielem, przewodnikiem i mistrzem, wyprowadzającym z „ciemnej doliny” w światłość. (...) Poszukiwanie Boga w świecie określa tożsamość podmiotu, od której nie ma wyzwolenia, a która jest wyzwoleniem (...)^[8].

[7] S. Burkot, *Było – nie minęło...*, w: J. Kornhauser, *Widok na jezioro. Wiersze z lat 1972–2007*, Kraków 2009, s. 7–9, *passim*.

[8] J. Drzewucki, *Słowo wstępne*, w: K. Lisowski, *Piętnaście tysięcy dni*, Kraków 1995, s. 7, *passim*.

Przebywając w przestrzeni immanentnej, doznając wszystkich jej ograniczeń i uwarunkowań, ma poeta jednak przekonanie o istnieniu transcendentnych punktów odniesienia, o obecności już „tu i teraz” porządku z woli Przedwiecznego, dlatego przyjmuje z pokorą Jego plany wobec siebie. Ma to założenie wpływ również na język artystyczny, któremu twórca wyznacza zadanie jak najbardziej precyzyjnego opisu świata i zdefiniowania miejsca, jakie „On” przygotował dla człowieka. W konsekwencji czytelnik nie znajdzie tu zbędnych ozdób, lecz niejako w zamian otrzymuje od poety dar i równocześnie zachętę do towarzyszenia mu w zmaganiu ze słowem, które – uwolnione od semantycznego relatywizmu – pragnie docierać do istoty opisywanych zjawisk, nazywać to, co nie zawsze jest nazywalne i wyrażać niewyraźne. Wiersze Lisowskiego układają się w mozaikę niekiedy zaskakujących olśnień, odkryć niezwykłego w zwykłym i to zarówno w przestrzeni metafizycznej, jak i w tej codziennej. Nie będzie chyba nadużyciem nazwanie ich świeckimi epifaniami.

Poeta, historyk literatury i zarazem krytyk literacki – Bronisław Maj, z pochodzenia łódzianin – skomentował rolę, jaką odegrał Kraków w procesie powstawania jego wierszy, między innymi takimi słowy:

Kraków – jego ulice, domy, mosty, dworce, wieże, rynek, Planty, Wisła... – jest jedynie scenerią, dekoracją, tłem dla biografii i doświadczenia zapisanego w tych wierszach. Tak się złożyło – przypadek? nieznana konieczność? wyrok: losu? Boga? – że świat przybrał dla autora i bohatera tych wierszy kontury, barwy, światła, formy tego właśnie miejsca, Krakowa.

Ale też Kraków – jako konkretne miejsce i jako pewien stan ducha – nigdy nie był dla tego doświadczenia scenerią neutralną,

obojętną. Przeciwnie: był, istniał na tyle intensywnie, że uczestniczył jakoś w tym doświadczeniu, przemieniał je i tworzył, nadawał mu kształt. Tak mocno, że niekiedy stawał się także bohaterem tej biografii, tego doświadczenia i tych wierszy^[9].

Zatem poeta zdaje się doceniać inspirującą rolę królewskiego miasta, którego duch na swój sposób współuczestniczył w rodzeniu się jego liryki. Trzeba od razu zaznaczyć – liryki transmutacyjnej, zmieniającej się w kolejnych tomach, dojrzewającej. Rozpiętej antynomicznie pomiędzy światłem i ciemnością (człowiek usytuowany jest pośrodku), gdzie światło jawi się zarówno w wymiarze realnym, luministycznym (dzięki jego obecności istota ludzka może korzystać z daru widzenia, dostrzegać różne obiekty, kontemplować ich makro- i mikroznaczenia), jak i metaforycznym, otwierającym przestrzeń metafizyki.

Maj nie należy do poetów, którzy „wiedzą”, przeciwnie – ma wiele wątpliwości co do konstrukcji świata, odczuwa ból niepewności istnienia, dzieli się z czytelnikiem egzystencjalnymi lękami, powtarza wybrane frazy w celu – jak się wydaje – oswojenia niezrozumiałego; drażni szczególnie, aby w nim dostrzec i odczytać znaki ogólności. Marian Stala zaznacza, że wiersze Maja są z pozoru rodzajem „przezroczystej rejestracji znaczeń”, jawią się jako odległe od tajemnicy, a nawet od wieloznaczności, ale w trakcie następnych, coraz bardziej wnikliwych lektur odkrywają swe ukryte podwoje, ewokują kolejne, coraz wnikliwsze odczytania^[10].

[9] B.M., *Od autora*, w: B. Maj, *Gołębia, Krupnicza, Bracka*, Kraków 2007, s. 5.

[10] Por. M. Stala, *Sen, śnieg i ciemna gwiazda*, w: tegoż, *Druga strona. Notatki o poezji współczesnej*, Kraków 1997, s. 132–137.

Należący do starszej generacji poetów obecnych w almanachu Leszek Aleksander Moczulski jest znany szerokiemu kręgowi odbiorców głównie dzięki swoim piosenkom (wykonywanym m.in. przez zespół Skaldowie) oraz tekstom umuzycznionym dla potrzeb estrady; znacznie węższą grupę stanowią czytelnicy jego bogatej poezji. Bogatej – tak w sensie rozpiętości podjętych tematów, diapazonu emocji, jak i rozwiązań warsztatowych. Zwrócił na to uwagę Bronisław Maj:

Ogromna różnorodność: poetyk, światów poetyckich, modeli wiersza; niezwykle bogaty w tonację, wielogłosowy – poetycki chór. Także – wielość tradycji, w jakie wpisuje się liryka Moczulskiego, i jakie – współtworzy. Od – w okresie nowofalowym – tradycji beat generation, dykcji Ginsbergowskiej; poprzez Norwidową i Miłoszowską (...) aż po „lozańską” (i późno-Staf-fowską) linię liryki kontemplacyjnej, religijnej, metafizycznej... I jeszcze wielość poetyckich światów i perspektyw, z jakich się w tej poezji na rzeczywistość (różne rzeczywistości) patrzy, opisuje je, ocenia. Romantyczne (i nowofalowe) widzenie historyczne, generacyjne – i samotny szept pojedynczego człowieka^[11].

Skoro jest to poezja tak rozległa, niekiedy biegunowa, niejednorodna i niejednoznaczna, iskrząca się emocjami: od stonowanego, wyciszonego monologu po krzyk, od łez (nigdy jednak cikliwych) po uśmiech, od zwątpienia po pewność – to czy jest coś, co można by uznać za jej wspólny mianownik? Owszem, tak:

[11] B. Maj, *Głosy powrotu*, w: L. A. Moczulski, *Krótko biją serca*, Kraków 2007, s. 8, *passim*.

Miłość, Dobroć – i z nich wywiedzione Piękno. To jest, przy zachowaniu wszelkich proporcji, ów wspólny ton przenikający całą, tak różnorodną, lirykę Leszka Moczulskiego. To – jej istota, jej znak...^[12]

Po tej celnej konstatacji nie pozostaje już – nic dodać, nic ująć.

Jednym z założycieli poetyckiej grupy „Teraz” był Jerzy Piątkowski, który w pierwszej fazie istnienia tego ugrupowania podpisywał się pod programem tak zwanej poezji interwencyjnej, reagującej na formy zniewolenia zewnętrznego i wewnętrznego, na zakłamanie w życiu społecznym. Rychło jednak zszedł z tej drogi (nie dlatego, że się z nią nie zgadzał w sensie ideologicznym), gdyż uświadomił sobie, że ten rodzaj liryki, choć ważny, to przecież po wypełnieniu istotnych zadań doraźnych nie jest w stanie sprostać „próbie czasu” – po wygaśnięciu kontekstu, który go powołał do istnienia, może pozostać w czytelniczej świadomości co najwyżej jako rodzaj literackiej kroniki tego, co minęło; świadectwo niegdysiejszych uwarunkowań. Chcąc wyjść poza krąg „publicystyki poetyckiej”, rozwinął zasięg podejmowanej problematyki i wzbogacił wachlarz środków artystycznego wyrazu (wybierając różnicowane rozwiązania genologiczne, sięgnął po tak trudny i rzadki obecnie gatunek jak poemat dygresyjny). Trafnie definiuje istotę wierszy Piątkowskiego Jan Mrzygłodzki:

Człowiek naprzeciw siebie i świata; człowiek „dotknięty” cudem i tajemnicą życia – to jest, na pewno, główny motyw i główne doświadczenie egzystencjalne poezji Piątkowskiej

[12] *Ibidem*, s. 10.

go: punkt wyjścia albo punkt dojścia większości lirycznych zdarzeń. Myślę o przeżyciu granicznym, quasi-sakralnym. W szczęściu, w klęsce, w chorobie; w poniżeniu, rozpacz, akcie twórczym, lęku, rozkoszy, śmierci... bohater wierszy Piątkowskiego znajduje sens istnienia – lecz się i ucisza, lecz się i odnawia – „dotknięty” cudem i zaszczytem życia, cudem i tajemnicą świata^[13].

Gdyby prześledzić życiorysy poetów, zapewne okazałoby się, że w ich wierszach, światopoglądach, systemach aksjologicznych następowały stopniowe zmiany; poezja dojrzewała, ewoluowała, przekształcała się proporcjonalnie do doświadczeń, jakie stawały się udziałem jej autorów. Do wyjątków należą ci, którzy już u zarania obrali określony kierunek i są mu wierni po latach. Taka właśnie stabilistyczna jest liryka Stanisława Stabry, który – podobnie jak Piątkowski – również zaczynał swoją literacką karierę w krakowskiej grupie nowofalowej „Teraz”, będąc jej współprogramotwórcą, a później teoretykiem. Bazą dla poetyckich rozważań Stabry była od początku tradycja, ale nie ta traktowana klasycznie – w pełnym wachlarzu odniesień – lecz tragiczna, której patronowała śmierć i niespełnienie. Takie założenie zaowocowało katastrofizmem, który po dziś dzień jest żywną glebą dla tej twórczości, zmieniają się jedynie uwarunkowania czasoprzestrzenne. Julian Kornhauser dostrzega, co prawda, w tych wierszach krótkie chwile radości i olśnień (mogą je rodzić m.in. miłość, erotyzm, obecność kochanych osób), ale i one podszyte są atmosferą śmierci, bo przecież nie mogą przetrwać^[14].

O ile w twórczości poetyckiej Stabry, choć oryginalnej i rozpoznawalnej, pobrzmiewają przecież nuty doświadczenia generacyjnego, o tyle wiersze o dekadę bogatszej w lata Kry-styny Szlagi wyrastają – jak się wydaje – niemal wyłącznie na pożywcze przeżyć prywatnych, indywidualnych. Indywidualizm nie wyklucza jednak zakodowanego w nich idiomu konwersacyjnego (może to wpływ utworów scenicznych, które poetka także pisywała), swoistej skłonności do wypowiadania monologów lub paradiologów, do konstruowania sytuacji rozmowy, wymiany stanowisk. I co istotne, a na co zwrócił uwagę Marian Grześczak, mogą to być rozmowy pozasłowne, posługujące się obrazem, gestem itp.^[15]

Na osobną uwagę zasługują utwory z Wilkiem jako bohaterem: refleksyjne, filozoficzne, niekiedy metafizyczne, o jasno sprecyzowanej aksjologii. Przypominają one, jako żywo, Herbertowy cykl wierszy z Panem Cogito w roli głównej. Snute refleksje są niekiedy bardzo bliskie myśleniu „księcia poetów” (jak zwykło się czasami określać Zbigniewa Herberta), ale myliłby się ten, kto by dostrzegł tu nadmierną zależność, jest to bowiem rodzaj nieskrywanej gry intertekstualnej, do której poetka zaprasza również świadomego czytelnika.

Absolwentka polonistyki i profesor filozofii Beata Szymańska (choć może się poszczycić niemałym dorobkiem) uprawia poezję jedynie – jak zwykła mawiać – okazjonalnie, gdy ma „wolną” głowę i wolny od prac filozoficznych czas. Wychodzi ze słusznego założenia, że liryka nie musi niczego odkrywać, ale jej treści powinny być podane w pięknym opakowaniu, bowiem sztuka – w jej odczuciu – polega na

[13] J. Mrzygłodzki, *Słowo wstępne*, w: J. Piątkowski, *32 utwory*, Kraków 1998, s. 6.

[14] Por. J. Kornhauser, *Słowo wstępne*, w: S. Stabro, *Wybór wierszy*, Kraków 1995, s. 7–8.

[15] Por. M. Grześczak, *Zapiski*, w: K. Szlaga, *Niebo po Ikarze*, Kraków 2006, s. 9.

mówieniu „nie wprost”. Nie oznacza to, bynajmniej, epatowania przez nią lirycznymi błyskotkami, lecz operowanie językiem z gruntu innym niż ten, którym mówimy na co dzień. I trzeba od razu dodać, że autorka skutecznie buduje ową szlachetną prostotę, którą Krzysztof Lisowski porównał do powiewu wiatru z kwitnącej podgórskiej łąki w dawno niewietrzonym domu^[16]. Szymańska manifestuje swoje niełiczenie się z czasem; on bowiem po prostu przemija, natomiast istotne dla niej jest to, co rozgrywa się w przestrzeni – zarówno tej dosłownej, jak i duchowej. Ważnym dla niej miejscem jest Kraków, gdzie się zakorzeniła od czasu podjęcia studiów, ale niejako równolegle opiewa piękno wsi i natury, z którą czuje duchowe i fizyczne pokrewieństwo. Lisowski – po lekturze tych wierszy – celnie próbuje rekonstruować kierunek myślenia poetki:

(...) dookolny świat jest większy niż nam się wydaje, możemy się zaledwie do niego zbliżyć. Widzimy zawsze fragment, uczestniczymy w chwili, akurat tej, nie innej. Ale czy nawet to umiemy wykorzystać, przyswoić i oswoić, poznać i zrozumieć?^[17]

A nieco dalej dodaje:

(...) poetka zwraca uwagę na to, że „wszystko” jest ważne, a nic – do lekceważenia czy przeoczenia, i że przyjęcie takiej postawy niewątpliwie wzbogaca intensywność naszego uczestnictwa w bytowaniu. Zaleca pokorę i całkowite otwarcie

na nowość i odmienność każdej sytuacji, odrzucenie skali ważności, pokus hierarchizacji tego, co przychodzi do nas „z zewnątrz”^[18].

Osobne miejsce na mapie współczesnej polskiej liryki zajmuje Tadeusz Śliwiak. Nie „pobierał nauk” w żadnej spośród poetyckich szkół, nie przynależał do żadnego ugrupowania, nie ogłaszał programów i manifestów; po prostu pisał, nie zważając na sezonowe mody i inne zewnętrzne uwarunkowania. Jan Pieszczachowicz, nie odbierając mu nic z oryginalności, wskazuje jednak na pewne powinowactwa z literaturą „popaździernikową” oraz z Jerzym Harasymowiczem i Tadeuszem Nowakiem^[19]. Takie adresy z pewnością ujmy poecie nie przynoszą. Zacytujmy jeszcze kilka zdań komentarza do tych wierszy:

Poezja Śliwiaka toczy się (...) między akceptacją świata oraz tragiczną i krwawą historią (...). Między piekłem historii i czasami dwuznacznym azylem przyrody rozgrywa się tragedia śmierci pospolitej, brutalnej, pospiesznej i degradującej człowieka, zanurzonej w odrażającej brzydocie (...).

Na przeciwnym biegunie pojawia się jednak inny świat, który mimo wszystko ma wartość, jest na swój sposób stabilny, nie traci urody (mnóstwo wierszy o pięknie przyrody).

Najważniejszy w krainie materii jest dom, zarówno jego powstanie, jak opuszczenie czy zniszczenie. Jest czymś na poły sakralnym, co daje nadzieję na stabilność bytu, ale czasami ją też odbiera. To, co materialne (...) daje oparcie, także duchowe^[20].

[18] *Ibidem*, s. 10.

[19] Por. J. Pieszczachowicz, *Słowo wstępne*, w: T. Śliwiak, *Smuga nadziei*, Kraków 2014, s. 5.

[20] *Ibidem*, s. 5–6, *passim*.

[16] Por. K. Lisowski, *Wstęp*, w: B. Szymańska, *Wybór wierszy*, Kraków 2009, s. 5.

[17] *Ibidem*, s. 8–9.

Andrzej Krzysztof Torbus jest poetą, którego jedni krytycy cenią wysoko, inni zaś nie zawsze wypowiadają sądy jednoznacznie pozytywne, zarzucając mu między innymi archaiczność formy. Prawda – jak to zwykle bywa – leży pośrodku. A co do formy – owszem, Torbus sięga nader chętnie po rozwiązania charakterystyczne dla minionego czasu (rymy, klasyczne zwrotki, numeryczna wersyfikacja głównie w wydaniu sylabotonicznym), ale udowadnia, że wcale się one nie przeżyły i nadal dobrze służą nie tylko piosence (poeta sporo ich napisał; niektóre – „uwolniwszy” się od nazwiska autora – śpiewane są przy ogniskach i podczas turystycznych wypraw). Oprócz dyplomu polonisty ma Torbus także wykształcenie muzyczne, dysponuje dobrym słuchem, a to z pewnością wpływa w dużej mierze na czynione przez autora wybory rytmiczne.

W 1969 roku poeta był jednym z założycieli grupy „Tylicz”, postrzeganej jako naturalna przeciwwaga dla ugrupowania „Teraz”; ponad obowiązkiem stawianymi przed poezją „interwencyjną” sytuował pragnienia opisów prowincji z jej wolniej płynącym czasem, obyczajami, krajobrazami, metafizyką, wzruszeniami... Takie deklaracje nie były szczególnie cenione u zarania lat siedemdziesiątych, ale przyszłość miała pokazać, że ten repertuar tematów nie podlega starzeniu. Chcąc zrekonstruować konterfekt odbiorcy tej liryki, Tadeusz Skoczek napisał:

Adresatem swych wierszy czyni człowieka prostego, prostoliniowego. Dlatego zwraca się do czytelnika w sposób bezpośredni, choć nie bez – tak potrzebnej klarowności poetyckiego obrazu – symboliki i metaforyki. Najczęściej korzysta z formy śpiewnej ballady. Stabilizuje swój poetycki ogład rzeczywistości w obszarach nieczęsto obecnych we współczesnej poezji. Prowincja nabiera pod piórem poety wartości, wraca do pier-

wotnych znaczeń, przyciąga nostalgiczne wspomnienia. Jest dla Torbusa wartością niezaprzeczalną, mitem konstruującym niepowtarzalne postaci. Jej znaczenie daleko przekracza nieco pejoratywne definicje geograficzno-estetyczne. Przeciwnie (...) jest ona wartością samą w sobie, atawistycznie niemal odwołującą się do podstaw naszej kultury narodowej, polskiej, przywołującą – mitologizującą niemal – jak w poezji Kochanowskiego, Reja, mistrzów poetyckich baroku – do świadczenia metafizyczne^[21].

Ten sam krytyk stawia – jak się wydaje – słuszną tezę, iż poezja Torbusa może być odbierana jako odpowiedź na „wyzwania nowoczesności, konsumpcjonizmu, globalizacji”; widzi ją w roli strażniczki wartości „nostalgiczno-prowincjonalnych”; sugeruje potrzebę zachowania w dobie cywilizacji medialnej „podstawowych wartości człowieczeństwa, etyki, wiary”^[22].

Kolejnym „tyliczaninem” w tym almanachu jest Andrzej Warzecha, poeta emocji, liryk, autor wypowiedzi autotematycznych permanentnie zmagający się z materią słowa, pragnący dotrzeć do jego istoty, zatrzeć granicę między nazywającym a nazywanym. Stanisław Dziedzic trafnie określa jego niepisany program poetycki, wyłaniający się bezpośrednio z poezji:

Warzecha od najwcześniejszych swych wierszy zmierzał do form lakonicznych, nierzadko posiłkując się dowcipem i dobitnymi pointami, lubił nawiązywać do tradycji epigramatu. Obserwując życie w jego jednostkowym i społecznym

[21] T. Skoczek, *Ballady, lata, jesienie*, w: A.K. Torbus, *Na skraju lasu jest zielony dom*, Kraków 2006, s. 12, *passim*.

[22] Por. *ibidem*, s. 13.

wymiarze, z czasem coraz chętniej i częściej posługuje się paradoksem, aforyzmem, antytezą, coraz to częściej widać w tych wierszach potrzebę dystansu wobec bieżącego życia. Uprawia poezję intelektualną, choć nie stroniąc od codziennej rzeczywistości. Atmosferę jego wierszy tworzą w sposób przemożny kunsztowne metafory, liczne sentencje, a przy tym odżegnywanie się od taniej, jałowej retoryki. W poezji Warzechy zasadniczo brak jest otwartego buntu, nie brak za to ironii, zespolonej z nutą żalu czy sarkazmu. Tkwi w tych wierszach ostrzeżenie przed pomieszaniem kryteriów i hierarchizacji wartości. Tych wartości, które należy ocalić. Kompromituje fałsz i obłudne konwencje, odbierające życiu prawdziwy sens i piękno^[23].

Właśnie rzadko spotykana umiejętność skrótu myślowego, lapidarność połączona z sentencjonalnością wypowiedzi, uniwersalizm czynionych przesłań – to cechy, dzięki którym Warzecha jest poetą rozpoznawalnym. Wzorem innych „tyliczan” sporo miejsca poświęca problematyce małej ojczyzny/małych ojczyzn. Ale jest też coś jeszcze, co go czyni poetą wyjątkowym – spod jego pióra wyłoniło się mianowicie wiele niepowtarzalnej urody wierszy poświęconych matce, promieniujących szlachetnym liryzmem, miłością w jej najczystszej postaci; wierszy, które mogłyby być ozdobą każdej antologii skupionej wokół takiego tematu.

W erudycyjnym, chciałoby się rzec prześwietlającym na wskroś poezję Elżbiety Zechenter-Spławińskiej szkicu Wojciech Ligęza konstatuje:

(...) w swych wierszach przywołuje światy baśniowe, stara się odzyskać chwile szczęśliwego dzieciństwa, tworzy prywatne mity początku, pisze o tym, że niewyczerpywalne w swym bogactwie życie cudownie się zaczyna i zdaje się nie mieć kresu, chwali pomysłowe piękno natury (...), dopuszcza świadectwa zmysłów, daje dowody subtelnej wrażliwości. Poetka (...) posługuje się conceptami językowymi, korzysta z lakonicznie wyrażonej mądrości aforyzmu, nie cofa się przed wyzwaniem uogólnień (sprawdza zakres znaczeniowy takich słów, jak miłość, szczęście, radość), opowiadane historie przebiera w kostium przypowieści (...), uprawia poezję rozmowy, ale też układa małe traktaty, w których ujawnia się myśl krytyczna. (...) konieczne dla zrozumienia poezji Elżbiety Zechenter-Spławińskiej jest odczytanie rozważań dotyczących drugiej, mrocznej strony naszego życia – wydane na udręki starzejącego się ciała, działanie niewiernej pamięci oraz niepokoje umysłu próbującego przeniknąć tajemnicę śmierci, niedogodności historii, szaleństwa ludzkiego gatunku, który postanowił zniszczyć Ziemię-planetę^[24].

Zatem kondycję ludzką postrzega poetka antynomicznie, kontrapunktowo, czemu daje wyraz w kolejnych tomach wierszy, w których marzeniom towarzyszy gorzka rzeczywistość, nie spełnia się mit arkadyjski, a iluzja harmonijnego współistnienia z ludźmi i innymi bytami przegrywa z poczuciem egzystencjalnej samotności i pustki. Klęski łagodzi niekiedy dyskretny humor, zaś (auto)ironia buduje bezpieczny dystans do niedoskonałego świata. Poetka, pomimo wszystko, stara się rozumieć ów

[23] S. Dziedzic, *Ironista liryczny*, w: A. Warzecha, *Jesień z mostu*, Kraków 1998, s. 8.

[24] W. Ligęza, *W przedśionkach serca*, w: E. Zechenter-Spławińska, *Grudka soli pod powieką*, Kraków 2008, s. 5, *passim*.

porządek/nieporządek i odnaleźć logiczne oraz etyczne uzasadnienia dla jakże krótkiej i ulotnej obecności istoty ludzkiej w przestrzeni zwanej życiem.

Ostatnim (bo taką kolejność podyktował alfabet) spośród poetów, których wiersze zostały zamieszczone w tym almanachu, jest Adam Ziemianin. Dzięki lirykom – tym wykonanym na estradzie – jawi się on miłośnikom poezji śpiewanej jako żywa legenda. Koncerty niegdysiejszej Wolnej Grupy Bukowina, grupy Pod Budą, Elżbiety Adamiak, Starego Dobrego Małżeństwa, a ostatnimi czasy także grupy U Studni przyciągały i nadal przyciągają tłumy fanów i koneserów tej twórczości.

Zapewne mniej liczne jest grono odbiorców wierszy Ziemianina, ale i one są rozpoznawalne, docenione tak przez czytelników, jak i przez krytykę. Ta ostatnia zwykła podkreślać ich prostotę, humor, optymizm, artystyczną ascezę, zaś spośród tematów wiodących: rodzinę (żona Maria, której poświęcił wiele wierszy miłosnych, a po jej śmierci liryków funeralnych; dzieci), dom jako jej ognisko, miłość w różnych odsłonach, codzienne życie^[25]. Słowo dopowiedzenia należy się „proście”. Otóż Ziemianin zmierza do osiągnięcia stanu prymarnej prostoty języka poprzez eliminację sztafażu zbędnych, choć z pozoru atrakcyjnych środków sztafażu artystycznego. Brak spodziewanych środków, paradoksalnie – skupiając na sobie uwagę – sam zaczyna funkcjonować jako autonomiczny środek. Ów „chwyt minusowy” pozwala poecie precyzyjnie nazywać rzeczy po imieniu. Nie można też zapominać, że Adam Ziemianin – jako członek grupy „Tylicz” – wzorem innych przedstawicieli tej formacji poetyckiej jest piewcą małej ojczyzny,

która jawi mu się jako azyl i miejsce ucieczki (schronienia) od wielkomiejskiego zgiełku. Co charakterystyczne i na co warto również zwrócić uwagę, to manifestowana, podobnie jak to było w twórczości Andrzeja Warzechy, miłość i przywiązanie do matki, której poeta poświęcił wiele ciepłych, wzruszających liryków i która była za życia kochaną osobą, zawsze wyczekującą odwiedzin syna w przygranicznej, arkadyjskiej Muszynie, małej ojczyźnie poety.

Marek Karwala

[25] Por. S. Dziedzic, *Poeta świętej powszedniości*, w: A. Ziemianin, *Dom okoliczności łagodzących*, Kraków 1995, s. 5–13.

Rosja pogrążona w żałobie

Biesław 2004

Znowu wrzesień

Boże, co im dasz kiedy staną u wrót raju?
Te dzieci wyszły z piekła nagie, zakrwawione i pokłute
o szklanych oczach
Idą teraz powoli, anioły z popalonymi skrzydłami
nie mogą ich osłaniać, płaczą

Pada deszcz, krzyk wznosi się w górę, kwiaty i fotografie
szyby telewizorów zachodzą mgłą
Pluszowe miśki siedzą grzecznie na drewnianych skrzyniach
odłamki i dziury rozwalone domy

Ludzie! Pękają nam serca i pęka ziemia
nawet Bóg skamieniał
Może lepiej mu było, gdy był złotym cielcem
wtedy bezradnie błyszczał
A kiedy wisiał na krzyżu sam wybrał drogę
do góry

małe dzieci biegały spłoszone
w koło
w koło

Boże, co im dasz, kiedy staną u wrót nieba?
Chyba nowe kredki i farby
to początek roku, niech malują to co widziały
koniec świata
czarne skłębione bazgroły

niech czekają na mamę, tatę i babuszkę
na szkolny dzwonek.

Nie będzie wiosny

Beacie Szymańskiej,
autorce wiersza *Znowu wiosna*

Kiedy były malutkie
 klębiły się blisko przy mamie
Sypały jej piasek do buta
 Hossanna śpiewała szczęśliwa

Najpierw kreska na ścianie
 lekkie pęknięcie na wylot
Nieważne mówiła mama
 Niech oda znów brzmi do nieba

Poczwarkom rozkwitły skrzydła
 a ostre kolce odwłoku
Kłuły niewprawnym gestem
 tych co byli najbliżej

Nie szkodzi mówiła mama
 młodość ma swoje wzloty
Jeszcze byle do wiosny
 a potem dom na skale

Lecz zamiast motyli jak trzmiele
 buczały groźnie i basem
Każdy chcąc uszczknąć swego
 sięgał po pole brata

Nie trzeba prosiła modliszka
 samca nie było od dawna
Chodźcie tu moje robaczki
 wybudujemy na piasku

Szarańcza się wzmaga ciemnieje
 już niebo przykryła sińcami
Idzie kroczek za krockiem
 aby nie deptać robaczków

Było ich tyle wyrosły..
Nie czekaj, *nie* będzie wiosny..

Dla Ani z Marignier

Nigdy cię nie poznałam
tak do końca
z drugiej strony lustra

Byłaś jak fala
co liże
wygładza
odpływa

Kobieta

Nigdy nie znałam prawdziwej kobiety
mama stała zawsze z tyłu
córkę wyrzywały sobie pierścionki
ten dla mnie
ten dla mnie
babcia była stara siedziała
pod krzaczkiem

Tylko Ania z Marignier
jej słomiane loczki
górnice kolanka
i niebieskie oczki

„ona pierwsza pokazała mi
księżyc” i zaśpiewała o tym
co piszczy w trawie _

Słodkie były jej migdałanki
naparzanki
i miód
który nosiła w kieszonce

Przyjdę obiecywała i topiła się
w studni
Może jeszcze ziółek?
I przynosiła zatrute jabłko
macochy

Gdzie jesteś biała królewno?

Zwycięstwo dokonało się raz na zawsze

Na koniec sąd na nas czeka
Piszą o tym w swych księgach
A droga jak zwykle pod górę
Ciężka i dech zapiera

Tak sobie myślę tak czuję
Że kiedy wejdę do domu
Anioł fotel podsunie
Drugi naleje herbaty

Nic nie mów Głos się odezwie
Już idę idę do ciebie
Młodzieńcy w świetlistych szatach
Siadą w trójcy przy stole

Też się napiją herbaty
Spojrzą na obraz Rublowa
Wtedy jeden mi powie
Posłuchaj tej opowieści

Wiedz – będzie ona o tobie
O ziarnkach które zasiałaś
Więc słucham mocno zdziwiona
Skąd tyle tu tego dobrego

Bo kąkol spalił się w słońcu
Zostały złociste kłoski
Na świecie mi wytykali
Takie lub inne czyny

Grozili że ciemność pochłonie
I ogień zniszczy tę słomę
A tutaj tylko iskierka
I wszystko w blasku motyla

Fruwam nad polem kaczeńców
Taki to sąd ostateczny
Niech żyje! śpiewam i widzę
Siebie w zwierciadle bez skazy

Lwów jest za Bramą Floriańską

Ja krakowianka ze Lwowa
Wyrośłam w cieniu Wawelu

Planty jak warkocz ruszałki
Oplotły to moje miasto

I złota trąbka na wieży
Otwórz otwórz okienko

Stąd widać Wysoki Zamek
Tramwajem na Łyczakowską

Po co po co wybierać
Ja jestem tutaj u siebie

Lwów jest za Bramą Floriańską
Zaprasza Kraków na kawę

Dokąd? Kiedy? I po co?

Przed tobą droga coraz to węższa
więc trzeba iść wolniej, krok po kroku...
Ale — nie oglądaj się!
Za tobą idzie Eurydyka, idzie na pewno

A za nią tłumy: zadziornych chłopców, których imiona
wryte na zawsze w twojej pamięci, i skromnych dziewczyn
których twarzyczki ledwo widoczne za siatką zmarszczek
Jeszcze wiązka staruszków i tłuściutkie dzieci bez skazy

Obok przesuwają się jak w kinematografie:
miasta, uliczki i ruchome schody. Przez otwarte okna
widać żywe krajobrazy: tu ciemny las, tam piaszczysta plaża
albo zatłoczony plac — głośnie okrzyki zebranych

Tylko że wszystko mija... zostaje tylko
mglista pustka raju z drzewem bez węża
ale i bez archaniola strzegącego dostępu
Wejdz, rozpułń się w tej zieleni...

Czułość

rozbudzony nadśluchiwałem
dalekiej muzyki fletu
moje serce obracało się ku tobie
niczym tarcza słonecznika
i zobaczyłem jak zza obcych krajów
wyciągasz dłonie
i gładzisz mnie po włosach
i mówiłem do ciebie szeptem
i szept przez siedem chmur przewędrował

myślałem o tobie tak usilnie
że czas przestał tykać
rozstępowała się noc
a przestrzeń tak bardzo skurczyła
że klęczeliśmy naprzeciw
wstrzymując oddechy

dotykałem powietrza
i czułem jak drgają ci
wargi w uśmiechu
światłem neonu ulicznego
który za chwilę zgaśnie
i jak wypełnia się twoje ciało
po czubki palców
czułością

klęczeliśmy naprzeciw
nasze zamknięte oczy
zachodziły widnokręgami
od dalekiego wpatrywania się w siebie

ramiona mdlały
od powstrzymywania
rozkurczającej się przestrzeni
pragnącej się wydostać na wolność
twoje źrenice
zapadały za góry za lasy
robiło się w całym kraju pusto
cichła muzyka

otwierałem oczy

Krótką adoracja królewskiej lipy

Ani Dymnej

cóż mówić o kosmosie
 gdy się w lipę wpatrzeć
 można się zatracić
 karuzela spiętrzonych gałęzi
 wirująca szaleńczo
 w skołowanej głowie
 liść goni liść
 a jest ich tyle
 trzepotliwe zielone motyle
 idealna jedność w wielości
 symetria powtarzalności
 rozmnażanie się przez klonowanie
 liściastych planet
 wiatrem napędzanych
 a wszystkie takie same
 a każda taka samotna
 amen

Ballada o rozstaniu

pomiędzy nami pociąg
 wyrasta jak spod ziemi
 porywa oczy oczom
 odrywa dłoń od dłoni
 na samotne połowy
 rozrywa zrośniętą całość

za szybą przestrzeń krwawi
 i pustoszeje niebo
 to nad polami łąkami
 dopełnia się rozstanie
 za lata za krajobrazy
 zachodzą twoje twarze

i cóż że serce
 chce wracać
 pędzone wbrew sobie po torach
 i że koła
 koła bez przerwy wystukują
 nasze ostatnie słowa

rozstanie to taka
 mała śmierć
 z której musimy się odrodzić
 by zosobnieć
 na nowo

Gra w niebo i piekło

Włodkowi Pawluczukowi

I

do piekła i do nieba
wiodą podobne bramy
wnętrza i korytarze
tu i tam te same

rozkład zajęć jadłospis
nieomal tożsame
więc czemu tu zgrzytanie
tam pienia ku chwale Pana

2

byłem w celi klasztornej
i w więziennej celi
na pozór identyczna przestrzeń
lecz przepaść bez dna

wybrańcy i skazańcy
żyjący na antypodach
wyboru i przymusu
ot w niebo i piekło gra

3

widziałem zakochanych
zamkniętych w uścisku
którym sławili wolność
będąc w siódmych niebach

gdy ich później ujrzałem
dusili się w dybach
bliskość ciążyła piekielnie
wypędzonym z nieba

Przeprawa

jak ten czas zleciał
nawet nie zdążyliśmy się
obejrzeć
mówimy po latach

a przecież to nie było tak
on włókł się
drąc nas jak topielców za włosy
stale pod prąd
obwieszonych sieciami dni
które wyławialiśmy
wodorostami
dziennych spraw
ciągnęliśmy za sobą całą rzekę
jak galernicy
zaplątywaliśmy się w niej
na głowie domy
z wrzeszczącymi dziećmi
które rosły bardzo powoli
szliśmy na dno
i wynurzaliśmy się na powrót
mówiliśmy: już nie damy rady
marzyliśmy
kiedyż wreszcie
zobaczymy na horyzoncie
ten drugi brzeg

Dejavu

Markowi Karwali

byłem wiejskim chłopcem
pasłem krowy pod lasem
zdrzemnąłem się
na kilka mgnień
i przyśniło mi się
tasiemcowe życie
najpierw terkające
jak wóz drabiniasty po polnych drózkach
potem sunące jak ciuchcia wądołami
z tysiącami wagonów
dni i nocy
a gdzieś dalej przesiadki
z pociągu na ekspres
z samolotu na samolot
podróże
nie z tej ziemi na koniec świata
w kalejdoskopie sennych widziadeł
migły singapury
brazylie
indonezje
antypody
zjazd na mule
w wielkim kanionie
Colorado
i wciąż na nowo
wracał stary Kraków

rosły córki
 biegły dni i noce
 nawijały się na szpule lat
 kąpałem się w parunastu morzach
 i oceanach
 może to by zmyć
 pierworodną zmazę
 chłopskości
 przeszukiwałem arabskie pustynie
 z nadzieją odnalezienia
 cudownej lampy poezji
 która za potarciem metafory
 przenosi szybciej niż odrzutowce
 w najdalsze krainy wyobraźni
 tymczasem migwały kalejdoskopy chwil
 i coraz szybciej nawijały się na szpule
 a czasem wlokły bez końca
 przez korytarze szpitalne

i wydawało się że dalej ani rusz

przysięgam
 byłem chłopcem palącym
 ognisko pod lasem
 zdrzemnąłem się
 na kilka chwil

a kiedy się przebudziłem

przecieram oczy ze zdumienia
 nie mogąc uwierzyć
 że to wszystko
 przecież zdarzyło się
 już naprawdę

Borzęcin, 1957/2016

z Gałczyńskiego

twoje wczorajsze kazanie
wzruszyłoby mnie do łez
pewnie nawet bym się nawrócił
niedziela wywiała mnie jednak
na Turbacz

twoje wczorajsze orędzie do narodu
mogło postawić na bacność
wszystkie moje obywatelskie obowiązki
ale sobota poniosła mnie
na Bukowinę

twoja wczorajsza krytyka
konceptualnej transcendencji archetypów
tak bardzo była potrzebna
(jako moc intelektualna)
akumulatorom ego mojego
ale piątek wykurzył mnie
na Łabowską

twój wczorajszy tekst
o lustracji postkomuny
i zdecydowanej walce z postmodernizmem
o mało co powiodł mnie do okopów
Świętej Trójcy prościutko

ale czwartek wyciepnął mnie
na Pogórze za Nowym Wiśniczem

twoja wczorajsza przecudnej polszczyzny mowa sejmowa
o mały włos nie uczyniła ze mnie apologety
wszystkich ministrów ustaw i wartości
wszystkich politycznych i duchowych elit
(czyniących w ojczyźnie dobro i prawdę)
ale środa upiła się ze mną
i z Frankiem Palką
w małej karczmie pod Nowym Sączem

twoje wczorajsze pismo urzędowe
mogło obudzić we mnie najzarliwszą
wolę służenia ukochanemu państwu
ale wtorek zaciągnął mnie do Rytra
na wieczorne i nocne przyjaciół rozmowy
z Jędrkiem Górszczykiem

w poniedziałek pakowałem plecak
powiedziałem ci wtedy

a ty mnie na wyspach szczęśliwych
w dupę pocałuj

* * *

jesteśmy tą trójcą
uciekającą z egiptu

siedzę na grzędzie parchowatki
na krzyżu głównym
radziejowa chyli głowę w wieczór
po lewej harde tatry
po prawej pokorne gorce
dolina popradu gotuje się do piety

wielki piątek gór
odkupił nas na kilka dni

kaja z psem ciastkiem się dzieli
ty od smreczynowego płomienia jasna
ja przegryzam jajko kieliszkiem wódki

kwitną przebiśniegi
i wilcze łyko
wielkie znaki rychłego zmartwychwstania

przez moment zapominamy
że cała trójca
musi powrócić
do egiptu

modlitwa górska

wierzchołkami wszystkich smreków
cieniem każdego motyla
całym moim patrzeniem w oczy chmur
modłę się do Ciebie
Boże źródłany
Boże macierzankowy
Boże gwiezdnych dolin
Boże łań i nietoperzy
Boże ostatniego oddechu

to prawda
byłem niepokorny jak potok
pyszny jak dziewięciosił puszący się w słońcu
uparty jak wiatr piłujący widnokrąg
pyskowałem Ci nieraz
bezczelnie wybijając rytm dni i miłości
znosiłeś cierpliwie moją włóczęgę
z dala od naszego Domu
czekałeś na marnotrawnego

więc jestem znowu
w nawie Beskidu
przed ołtarzem Tatr i Gorców
z ogromnym bukietem ciszy
i modłę się do Ciebie
Boże moich gór
bo pozwoliłeś mi jeszcze raz
wrócić

polityka

tak nachalnej i wyzywającej
kurwy
nie spotkasz w największych burdelach
nierządnego świata

dziewictwo straciła sama z sobą
za podpuszczeniem pierwszego szamana
i pierwszego złodzieja w koronie
potem już poszło gładko
od banku do szubienicy
od kłamstwa do łaski uświęcającej
od terroru do kurewstwa

od początku specjalizuje się w technikach
sadystycznych
najpierw kokietuje mnie odmóżdżonym
uśmiechem
a kiedy już schowa się za pancerną szybą
i otoczy wiankiem osiłków eunuchów
pluje mi w gębę
i nasyla swoich alfonsów
zwanych dla niepoznaki urzędnikami

wbrew mojej woli
ale za moje pieniądze

mizdrzy się w moim telewizorze
lata samolotami na salonowe balangi
i seksualne spotkania na szczycie
pożera połowę papieru produkowanego
przez tę trefną planetę
ma udziały w kasynach
i w atakach rakietowych
na osady pasterskie w górach
a najgorsze jest to

że każe sobie płacić
bezdolnym i chłopkom
rencistom i murarzom
całemu plebejskiemu armatniemu mięsu
za prostytutkę
jaką uprawia
w gabinetach władzy
w wąskim kręgu
towarzystw wzajemnej adoracji

zmuszany torturami
do zwracania na nią uwagi
jeden jedyny raz staram się zachować
jak typowy modernista
po prostu
ją...

pożegnanie

Reginie

zarosły w górach nasze ścieżki
i świeca milczy jak zaklęta
jesion nie tuli nas do piersi
i zimny księżyc nie pamięta

w mdłych fotografiach czas rechoce
zapluta jesień zęby sroży
bolą odgrzane w sianie noce
słowa tną ciszę tępym nożem

wiersze pokryła pleśń liryczna
żałosny koniec pisze echo
chciałbym cię dotknąć kroplą liścia
lecz odpłynęłaś zbyt daleko

pusty jak hala w listopadzie
nawet się modlić nie potrafię
i klnę kalectwo białych marzeń
odgrywam mgłę w jesiennym akcie

w kieliszku topi się sumienie
do gardła skacze iskrą z pieca
bo mogłaś złote mieć jesienie
a nie pawanę dżdzu przy świecach

co teraz zrobię z gór dziennikiem
gdzie pełno cię na każdej stronie
wcześniej mnie biały zgasi styczeń
zanim napiszę słowo koniec

a jednak widzę cień twój chłodny
co z kręgu ognia w ciemność płynie
do drzwi podchodzą tylko jodły
i gorycz się wylewa z rynien

wrzesień 2001

azyl

rozmawiam z Tobą przez chmur kraty
w konfesjonale wierchów cisza
chciałbym Cię dotknąć i zobaczyć
lecz niekoniecznie jeszcze dzisiaj

kwadryga czasu rwie po prostej
przy której wszystko na planecie
poczekam przy dziewiątym moście
czasu nie mierzy się poecie

te strofy to mój święty azyl
powód bym mógł się z Tobą wadzić
i modlić się o godność prawych
łajdaków przekląć i przerazić

w końcu to Twoje przeznaczenie
wybrało mnie akurat Panie
abym mógł wskrzeszać sumień cienie
miłości głosić zmartwychwstanie
mogę
rzecz jasna przy Twym boku
śpiewać hosanna w Dur-tonacjach
ale to jeszcze nie w tym roku
gdy kwitnie miłość i akacja

tylu już masz przy sobie mistrzów
Wiesław Tadeusz Jerzy Marian
panegiryki Ci napiszą
i nowe teksty do hosanna

a ja w azylu moich wierszy
jeszcze posiedzę sobie nieco
bo mnie naprawdę się nie spieszy
zwłaszcza że nie wiem jak daleko

rozmawiam z Tobą przez chmur kraty
w konfesjonale wierchów cisza
chciałbym Cię dotknąć i zobaczyć
lecz niekoniecznie jeszcze dzisiaj

Alegoria

Prawda
Jest przywilejem bogów
Ale najczęściej
Odkrywają ją ludzie przeciętni

Nie usiłuje nikogo przekonać
Bardziej niż samą siebie
Silni mówią że zabija
Słabi i kontuzjowani
Przysięgają jej zemstę

Naga prawda wypływa na wierzch
Nie wcześniej
Niż w uzgodnionym terminie
Jej zwłoki trudno rozpoznać
Zresztą i tak nikt
Do niej się nie przyznaje

Prawdę chowa się nocą
W zbiorowej mogile
Świadectwa i dokumenty
Lecą w ogień na dziedzińcu
Ministerstwa Przyszłości

W imieniu
Obiektywnej rzeczywistości
Żegna ją profesor Fałsz
Podkreślając zasługi
I skromność zmarłej:
„Nikogo nie skrzywdziła
Choć zawsze miała rację”

Brzydcy osiemnastoletni

Przyjeżdżali z zapadłych
Prowincjonalnych kątów
Ze słoikami smalcu z cebulą
(parapety w akademikach)
I punktami za pochodzenie
(zaświadczenia z gminy)

Myślałem – to dobrze
Lud do wiedzy ciągnie
A ci koledzy że to przed wojskiem
Łatwiej się dostać na historię
Niż na medycynę

Chleb ze smalcem
Na fałszywej metryce
I wino patykiem pisane
W kubku do mycia zębów

Na egzaminie
Z ekonomii politycznej oksymoronu
Pokazywali obłożony
Czerwonym nalotem język polski

Obłożnie postrzępiony
Popękany jak rola bez deszczu

Nawet nie przypuszczali,
Że już niedługo praca w archiwum
Poza wdychaniem kurzu
Będzie taka ciekawa

Że będą budzić strach i nienawiść
Emerytowanych bywalców kasyna
Na Placu Wolności
Obecnie – Inwalidów
Oraz gmachu
na Franciszkańskiej
Z oknem – Tym Oknem.

Słowa, które dawniej płonęły

My jeszcze chcemy Boga
 W domu w szkole
 Ale nasza świadomość
 Wyższa edukacja techniczna
 I artystyczna oraz naukowa
 Nasuwają coraz więcej
 Wątpliwości

Być może chcemy
 Ale tylko do czasu
 Bo nam się wydaje
 (Jesteśmy prawie pewni)
 Że naszym dzieciom
 Przyda się na początku
 Odrobina mistyki

O ile Pan Bóg już się nie znudził
 Gorliwymi postanowieniami
 Poprawy i udawaniem żalu
 Przysięgami na wierność
 W niedzielę
 Aktami gniewu i nienawiści
 Przez pozostałe dni tygodnia

Wiara Nadzieja Miłość

Wyśmiane w mediach
 I na uniwersytetach
 Sponiewierane w sztuce
 Jak słowa dawnych pieśni
 Jak rotty naszych przysięg
 Wojskowych i cywilnych

Wykład o metaforze w Toronto

Po wykładzie chrześcijańskiego filozofa
Odyła się dyskusja ze słuchaczami

Filozof nie mówił niczego nowego
Kilka prawd o wartościach i tradycji

Przestrzeganiu prawa naturalnego
Konsekwencji w wychowaniu dzieci

Odpowiedziało mu wycie
Postnowoczesnej dżungli

A on zamiast odpierać ataki
Stara się ująć zdarzenie w metaforę

„Wreszcie na końcu światełka
Pojawił się tunel” – żartuje

Stołeczne królewskie miasto Kebab

Kiermasze, festiwale pierogów
Nawet ciastka i lody mają wschodni zapach
Sine twarze w lustrach

Puste kościoły zabite deskami
Ze spleśniałych trumien
Zgrzytanie wybitych zębów

Kebab – strefa wolna od życia
Umarłe miasto dla turystów
Z muzułmańskich krajów Europy

Dlatego nazywają go Kebab
Na razie władze organizują
Parady jamników i tęczowych aktywistów

Więc przed odjazdem mówię:
Witaj, o miasto wszeteczne!
W Europie Proroka!

Tylko tramwaje i autobusy
Mówią jeszcze po polsku
Ale tylko w godzinach szczytu

Rekonstrukcja

Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi

Ongiś lud zdrajców karał
 Bez względu na urząd
 Dziś zapomniał przebaczył
 Tańców tylko łaknie

Więzień dał rękę katu
 W podzięcie za głowę
 My panowie Słowianie
 My lubim sielankę

Bał toczy się gładko
 Wszyscy krzyczą sto lat
 Szpion zabawia damy
 Książdz Te Deum śpiewa

Tylko człowiek osobny
 Schodzi do ogrodu
 I przystaje w cieniu
 Z dała od hałasu

Dostał zaproszenie
 Lecz mu nie do śmiechu
 Sojusze znów zawarte
 Na podartym papierze

Żaden tam marszałek
 Lecz klasyk wytrwały:
 „Ci nie będą wieszać”
 Mruczy zagniewany

Lecz wychodzą z domów żywi i umarli
 W panterkach cienie i w hełmach
 Krzepnie obsada barykady
 Strzelać będą, nie wieszać

Matczyna ikona

Cóż zmarszczki!

– ta twarz
jak ikona
oprawna jest
w moją
pamięć

Więc

tym cenniejsza
im więcej
na niej
pęknięć...

Erem na Bielanych

Grubą linią
biały mur przekreślił
to
co było...

Brat furtian
z brodą w sandałach
dzieli przestrzeń na doczesną
i niebyłą –
zamyka
bramą
powietrze

Furta spada
na pokręcone ścieżki –
dalej
drogę wyznacza Reguła

Między celą
a brewiarzem
snują się paciorki dni
nanizane
na
niewidzialną
nić
powołania

*Klasztor oo. Kamedułów,
Kraków '94*

Erotyk liryczny

Wejdźmy cicho w tę noc –
najmilszą
najmiększą pościel

nocą się przykryjmy
najczulej
najprościej

podomyślajmy się siebie
nim
nagość damy piękną

na palcach idźmy
do siebie
poprzez noc
dla innych
zamkniętą...

Krew Bieszczadu

Hryć Szachmat – Bojko
(punkty za pochodzenie)
z żył wytacza
zwarzoną
krew Bieszczadu

Noc gęstnieje
sad w oparach samogonu
my – oparci
o Hrycia stodołę

Przeszedł Wehrmacht
i Tretja Samostijna,
ruskie tanki –
po nich sotnie Bira

Nim nad ranem
przyszło
wojsko z orłem –
polegliśmy
za Hrycia
stodołą...

Plac w Bagdadzie (szesnastoletni pociągnie za sznurek...)

Trzeba tak,
by nie zwracać niczyjej uwagi...

Na oko lat szesnaście, nikt nie da mu więcej.
Pociągnie za sznurek, gdy plac pełen kupców
i innych targujących
wszystkim,
w co tylko Pan ich zaopatrzył.

Nim się do wrót Seraju wzniesie brzucha pęknięty balon,
zanim się grzbiet wykrwawi rozerwanego wołu
i krwi rozbełtanej rozleje w glebę galon
– szesnastoletni, laskami dynamitu
opleciony jakby kolb kukurydzy wiankiem
pomiędzy niewiernych idzie je rozdzielać –
nogi głowy urywać, rozdzierać
– wszak oni najgorsi ze stworzeń!

Dla innych, co z nim przyszli
a równie wsłuchanych w głos minaretów –
– dla innych to zwykły dzień;
wszak to jeszcze nie jest Dzień Rozrachunku,
ani też Dzień Wzajemnego Nawoływania!
To jeszcze nie jest Dzień Zebrania,
na który to *Sam Pan ustali Termin Nie Do Odwołania!*
Jeszcze nie czas

by w Najwyższym z Siedmiu (gdzie Matka Ksiąg przebywa)
by w Najwyższym z Siedmiu znaleźć się Niebie;
gdzie będzie *Źródło Płynące i Łoża Podniesione,*
Puchary Postawione, Poduszki w Rzqd Ułożone.
I będę Kobierce na łóżach rozesłane.
I Dziewic pięknych Siedem– a wszystkie roześmiane...

Pomiędzy kotarami z dywanów ręcznie tkanych
dźwiga szesnastoletni pomiędzy straganami
dźwiga swe rychłe Wniebowstąpienie;
niesie w sobie obelgę dla żywych
w obozie na pustyni wyćwiczoną jak trzeba...
– wnet nad targowiskiem rozpęknie słońca arbuz
i
szyby niebieskie
polecą
z okien nieba...

Szesnastoletni,
nim pęknie słońca arbuz –
laski dynamitu
na krwawy niesie szlachtuz!

Wierni ciału

*... nim Słońce – morderca
wypali nas do cna...*

Jeszcze się cieszymy
widokiem soczystych
ciał
w słońcu
pod Jego okiem

(opiekuńczym, a jakże
bo złego coś zdarzyć się może
przed Słońca wyrokiem?)

To jest właśnie w i a r a –
ona służy ciału
choć
ciało w duszę nie wierzy

modlitwa jest lękiem
przed utratą ciała –
okładem
z
zsiadłych
pacierzy...

Ars poetica

błąkam się po sobie
od piwnic po dach
od słowa do szeptu
od deszczu do dreszczu

moje widmo jest czyste
ogolone kościste
mrok spędza sen z powiek
wymyka się zdrowie

odnajduję drzwi
lecz nie umiem wyjść
potrwa to aż zechce
wchłonąć mnie mdła przestrzeń

od świtu do rana
wygrana i przegrana
w oku ślepym stoję
to oko jest moje

2003

Śni się, albo i nie

Śni się. Albo i nie śni.
 Jesteśmy. Obcy. Rówieśni.
 Skazani na prozę szmatławą.
 Trzeźwo; źle, przykro, łzawo
 Liżący rany, w popiele.
 Gnijąc, śpiewając w kościele
 Psalmi, kołyszając się w przód.
 Trzeźwi, skostniali na lód.
 Pod czaszką rdza metafory,
 W żrenicach ziarno uporu.
 Obok niagara postępu;
 Złoto i nóż ostry w ręku.
 Jawa jaśnieje, obnaża
 Kłty, kartki z kalendarza.
 Gdzie nieruchomość poruszeń,
 Ktoś może zwykłą duszę,
 Zdrewniałą i nagą jak beton
 Obudzi przed zmierzchu metą.
 Nad rzeką, co wolno płynie
 Dom, obumarłe imię.
 Szyderstwo ksiąg, pieśń zwierząt
 Dziś pod stopami leżą.
 Zamiast patosu, odchody
 Po dziejach starych i młodych.
 A w lustrze się odbija
 Twarz, nie wiadomo czyja.

Obłok rysikiem swoim
 Blizn na niej nie zagoi.
 Jest z nami stara Europa.
 Czysta. Brudna. Na opak.
 Jej blask zagubiony w śniegach.
 Jej głos który się nie rozlega...

**Dwa wymiary;
bez jednej możliwości –**

1.

To jest tak
polityka i głupi sezon
to jest inaczej
bez-skrzydły anioł i krzyżyk
na drogę
to jest stary pijak
i świeża przenośnia
to jest mróz
na kamiennych schodkach
to jest śpiew
i dupiasta dziwka
to jest nikt
z zamazanym nazwiskiem
to jest paryż
i miejscowy splin
jawa skojarzeń
i do diabła z tym
co jest czego
nie da się rozpieprzyć
stado wilków
i gromada wieprzy

2.

to jest wiersz
rozdziobany przez wrony
puste ziarna
i puste zagony
to jest wiatr
polarny od południa
jego ślad
echo w nas wyludnia
to jest brud
powszechny więc ludzki
ty zaś z nut
grasz swój żywot krótki
to jest rzecz
nie-pojęcie prosta
idąc wstecz
gubisz własną postać
lśni jak krew
zakażona cieniem
to już zmierzch
tego co śmiertelne

Starzec opisuje nowe –

Wypełniły się dni.
Psy, zeszyły na psy.

Ceny hotelowe wzrosły.
I cel nasz, bardzo wzniosły.

W ogrodzie zamiast róż,
śnieg mroźny, wszere i wzdłuż.

Rozmowy na ekranie,
ktoś bierze, komuś się daje.

Tobie mylą się rymy
od Rzymu do Kołymy.

Ojciec stary, matka młoda,
znów waszego trudu szkoda.

Bo wypełniły się lata.
Mozół – i żadna zapłata.

W szczerym polu jeno brak.
Pędzi wicher. Stoi wrak.

Pajęczyną wisi mgła.
Kruk swojego jak nikt, zna.

Czytaj z oczu wieku tego.
Piękne hasła, nic dobrego.

2003

Napis wewnętrzny

Pamięci Juliana Kawałca

idzie się.
jesień jest śliska.
widzi się.
popiół z ogniska.

pisze świt.
czarne światło.
budzi głos.
chwilę przed-ostatnią.

przyjdź dniu. lekki.
sobie przypisany.
dom nas szuka.
nie wybudowany.

w pryzmach gąszcze.
w kamieniach przestrzenie.
góry z chmur.
blizny w nas.

oczy-wistość. wirująca jak wiór.
zaprzecza sobie. czas
przywołuje z dna
kolejny porządek-obrządek.

będziesz pamiętał.
jego kształt.
i wątek.

X 2014

Zasłużony odpoczynek –

siedzę
jak stary nie-
czynny mnich tybetański
na ławce przed domem

słuchać kukułkę za
chwilę kosa i chór
wróbli niosących
w szarych piórach
jasność
przed-słoneczną

mam czas
filtrujący kości
i źrenice nie mam
złudzeń błakających się
pod czaszką
chłodnej jawy

mur cienisty jest a pa-
ciorki różańca
to sekundy które mnie zjadają
od świtu po zmierzch

IX 2003

Urząd poezji

Państwo zdejmie naród
Państwo zdejmie ojczyznę
Państwo zdejmie barykadę
Państwo zdejmie wypadki grudniowe
Państwo zdejmie niektóre nazwiska
Państwo zdejmie sztandary
Państwo zdejmie Żydów
Państwo zdejmie Wolną Europę
Państwo zdejmie marzec
Państwo zdejmie tytuły rangi i stopnie
Państwo zdejmie tryb rozkazujący

Państwo zmieni naród na obóz socjalistyczny
Ojczyznę na miasta przemysłowe
Barykadę na skład makulatury
Wypadki grudniowe na powieść Bratnego
Niektóre nazwiska na inicjały
Sztandary na pochód pierwszomajowy
Żydów na profesorów
Wolną Europę na CIA
Marzec na wiosnę
Tytuły rangi i stopnie na puste miejsca
Tryb rozkazujący na tryb warunkowy

Państwo jest najwybitniejszym poetą polskim

On

Inny, więc podejrzany, inny,
 więc pełen skrupułów, inny,
 więc oskarżony.

Nie chce się przyznać, więc
 winny, milczy, więc winny,
 broni, czego inni nie chcą,
 winny, winny.

Domaga się odpowiedzi, nie
 odpowiadać! Chce mówić, zagadać!
 Walczy, zwalczyć! Nienawidzi,
 odebrać resztki złudzeń!

Niebezpieczny, oderwany od
 życia, prześlacony, zakłamaný –
 ostatni
 człowiek.

Przy głównej ulicy

Przy głównej ulicy synagoga
 jasna jak koszula na sznurze
 nie pochyla się nad przeszłością

opowiada gwar pobliskiej kawiarni
 puszczając oko do baptystów
 po drugiej stronie

zamknięta w południe
 zaprasza śmiało inwalidów na wózkach

dziewczyny przy stolikach
 nie słyszały nigdy o rabinie z Lublina

synagoga na Jasper Avenue
 woła szalom do młodych rowerzystów
 skaczących po chodnikach jak onagery

nikt nie słyszy jej głosu

czy ja przybysz ze spopielonego ogniska
 potrafię zrozumieć to wołanie
 ten język dorodnej młodości
 ośmielonej dzwonkiem piskliwej komórki?

Forma

Trzeba mówić jakieś prawdy
trzeba udawać że jest się sobą
trzeba być wyrozumiałym

ale nie ma już formy
która ubrałaby te prawdy

formy znikły
spaliły się
żyjemy w świecie bez form

gołe nazwy
różowe sutki
skrzypiące furtki
zostały pozbawione skóry

dotykamy mięsa
które śmierdzi

nawet kościół
został opuszczony przez formę
ludzie wchodzi i wychodzą
krawaty chowają do kieszeni

forma już nie powróci

to co jest zewnętrzne i nagie
to co śmierdzi i nie łaknie
leży pokotem na ulicach

ludzie chodzą po tym
nie widząc co depczą

ślady butów
plamy i kurz
trwałe formy zastępcze

Żydowska piosenka

Płynie dym czarny z komina
razem z dymem żydowska dziewczyna

za dziewczyną jej ojciec i matka
już odwszona rodzina hebrajska

rozpuszczają się Żydzi w obłokach
potem deszcz spływa z wysoka

rosi trawę i ziemię świętą
w szumie topól odzywa się getto

w mydle czujesz małego Aronka
włosy Ruth w sienniku pachną jak łąka

żyją Żydzi choć wcale ich nie ma
ich płucami oddycha dziś ziemia

zagłodzeni zaszczuci zarżnięci
ocalili na zawsze Oświęcim

nie ma Żydów lecz niemi świadkowie
biją Żydów po ranach po głowie

nie bolą te razy tym razem
bo głowy wypełnione są gazem

i choć wyszli przez komin wrócili
byście gaz im z tej głowy wybili

Guzik

no cóż
nie da się o nim powiedzieć nic ciekawego

został pozbawiony nici
która wiązała go z rzeczywistością

dawniej trzymał się mocno
chodził dumnie wyprostowany
i zapięty

a teraz
aż żal patrzeć

odtrącony
wciśnięty w kąt
próbuję wygwizdać jakąś melodię

ale przez jego dziurki
wydobywa się cichy szelest
przypominający modlitwę
pętelki

Wypisy z herbarza

Cóż dla mnie z nich pozostało?
Rysy twarzy, niepokój, sposób złożenia chusteczki,
kaszel, zapamiętane przysłowia, dykteryjki,
pociemniałe fotografie,
Po mieczu – maszynka do golenia,
która walczyła z zarostem
w Rumunii, Grecji i Francji,
i w Anglii – na Hebrydach.
W końcu tę wojnę wygrała.
Po kądzieli – nożyczki z napisem
„Kompanja Singer”,
którymi przed rewolucją dziadek
obcinał paznokcie,
bywały w Moskwie i w Pitrze,
i w twierdzy dęblińskiej służyły wiernie
za cara Mikołaja II.
Więc dalej są użyteczne, bo
rosną paznokcie i włosy. I świty
dla nich wstają i są zachody księżyca.
Więc jeszcze chwilę potrąją
od spiżu trwalsze przedmioty.
Zamykam herbarz i myślę,
kto po nas będzie dziedziczył.

Wspomnienie o nas

Dużo przeżyliśmy razem i jeszcze więcej przeżyjemy,
ale między wieloma czynnościami, rozmową,
wyjazdami, chorobami dziecka, marzeniem, grą
w przypadek i konieczność, patrzeniem na góry
zawsze ważne wydawało nam się czytanie,
głośne czytanie.

To ja czytałem, a ty słuchałaś najpierw
Czarodziejskiej góry, z balkonu widząc
korony młodych drzew, dach pawilonu,
po którym buszowały koty, Hansa
Castorpa w pierwsze wakacje naszego
narzeczeństwa. Potem przemawiało
przez nas wielu innych ludzi – Kundera, Miłosz,
smakosze, nieszczęśliwi poeci, wygnańcy.
I teraz, kiedy prasujesz nasze ręczniki
i dochodzi północ, wystawia się znów
dzięki komuś nasza wspólna prawda i
ta pewność, że Bóg
nie zaczął w nas wątpić.

Epitafium dla Józefa Węgrzyna

Pod koniec naszego wieku,
kiedy dzieci bawi wiarołomna fantazja komputerów,
umierał krótko na chorobę mózgu Węgrzyn,
sklepikarz z naszej dawnej ulicy
świętego Sebastiana.
Między żydowską masarnią a jakimś kantorem
miał sklep – „Towary mieszane”.
Tak umierają mity, dzieciństwa pierwsze obrazy,
tak przepadają pamiątki:
tercjan z mięsistym nosem, gipsowy herb miasta
na fasadzie szkoły, sztywne kołnierze koszul
chłopięcego chóru, baseny przeciwlotnicze na Plantach
gaszące pierwszą, grzeszną, dziewiczą krew.
To było takie zwyczajne: świeże i kiszone
ogórki, żółte nogi kogutków, landryny
z głębokiego słoika i wiązka drewna na podpałkę,
którą mogłem kupić w niedzielę nawet,
gdy po mszy w kościele Bożego Ciała,
w krótkich spodenkach biegłem
wysłany przez ojca;
a teraz ręka może spać na skraju kartki,
kiedy tak znowu biegnę do pana Węgrzyna.

Podziękowanie

Dziękuję ci, Panie Boże,
 za to, że w poniedziałek opuściłem łono matki
 i zamieszkałem, po kolei, w różnych domach,
 za to, że w środę poznałem kilka kobiet,
 z których jedną pozwoliłeś mi wybrać
 i był to wybór właściwy,
 za to, że w czwartek rozpocząłem
 parę bliższych i dalszych podróży
 i podyktowałeś mi słowa wiersza,
 którym Cię chwale,
 za to że w piątek
 ofiarowałeś mi
 doświadczenie pięknej i wiernej przyjaźni,
 za to, że w sobotę pozwoliłeś mi odpocząć
 zsyłając sen, w którym byłem lepszy
 niż jestem i potrafiłem unosić się nad górami,
 za to, że w niedzielę nie opuściła mnie nadzieja
 i chciałem przeżyć cuda dni i lat następnych.

1987

List 13; w sprawie znanego Wypadku

modlimy się
 do Nieznanego Sprawcy
 wielkiego Karambolu

list gończy zmienił się z czasem
 w grubą księgę

portret pamięciowy
 rozwieszono po wszystkich
 kościołach

podobno nie był sam

mówiono że było ich troje

siwy mężczyzna z synem
 i białym gołębiem

zbiegli z miejsca Wypadku
 kiedy odpoczywaliśmy nadzy
 na młodych wyspach
 pod szczęśliwie kwitnącymi gwiazdami

Traktat o niekonieczności

Niekonieczność jest z naszego świata. Ma silny związek z wolną wolą.

Jedzmy winogrona, pijmy ciemne wino. Pestki wyrzucajmy na zroszoną ziemię.

Słuchajmy wieczornego dzwonu.

Na koszulce angielskiej turystki: „Morze nie jest odpowiedzią”. Wydaje się jednak, że całe dni i noce odpowiada.

Duże białe trąbki powoju, na drzewkach pomarańcze, cytryny, granaty. Owoce opuncji kształtu i barwy buraczków. Ale nie tylko to i nie tylko tu.

Poranny taniec mew nad zatoką, z krążeniem i pokrzykiwaniami.

Niekonieczność tkwi między mądrością a przyjemnością niekiedy blisko rozumnej konieczności.

Jeszcze słyszeć pojedyncze cykady.

Między przyzwoleniem a odmową jest trzecie wyjście.

Patrzmy na wieczorne światła w porcie. Niektóre łodzie wracają z połowu, inne wypływają właśnie na nocne łowiska. Każdy z tych ludzi zasłużył na kolację.

Niech nas przepełnia dobre natchnienie – pozdrówmy starszą panią, która kąpie się w eleganckim kapeluszu z wstążką.

Kupujmy drobne prezenty – miotełkę lawendy, naparstek, bransoletkę z malachitu. Pozdrawiamy kamienie, przenośmy część wysp szczęśliwych na ląd. To na pewno coś potrafi zmienić.

Jeśli nawet ktoś obserwował nas z Kosmosu tego czy innego wieczoru, niech inne istoty uczą się niekonieczności od Ziemi, patrząc na ten oświetlony balkon.

Kiedy omijają nas jakieś okazje, niechybnie przyjdą następne, ale czasem decyduj się natychmiast. Nie wiadomo co będzie wygraną.

Studiujemy mapy, kłaniajmy się stronom świata. Zapamiętaj jak pachnie róża wiatrów.

Sypiajmy dobrze i długo, ale nie przeoczmy czasem jutrzni. I nie wybacжайmy komarom.

Jeśli od wielu dni nie widziałeś żadnego mnicha w pobliskim klasztornym ogrodzie, uwierz – kiedy w starym okienku zapali się świeca – że czuwa i pracuje na chwałę Pana. Może nawet rozmyśla o twoim zbawieniu.

Wzmagajmy niekonieczność, machając nogami, unosząc je wysoko.

Głaszczmy koty cierpliwie i często, one mają dar pocieszania, nie żądają niczego w zamian. Gdy leżą zamyślane, nie przebiegajmy im drogi gwałtownie.

Wpatrujmy się w wiatrak nad naszym łóżkiem – może zobaczymy coś jeszcze.

W snach czytamy dużo czeskich powieści z pogodnymi zakończeniami.

Całuj po przebudzeniu piersi ukochanej, wtedy są najszcześliwsze i pełne ciekawości.

Niech cytrynowe drzewko okaże się jutro znów inne.

Wypijmy łyk wina za kapitana promu, który będzie nas oprowadzał po morzu.

Pośpiech zniewala, poszukajmy sobie patrona powolności.

Dobrze, żeśmy ta noc ciepło otula.

Cieszymy się chłodem ciała, gdy wychodzimy z morskiej kąpieli, a potem osusza je słoneczny wiatr. I tym, że promyki potrafią spacerować po dnie morza, pomiędzy rybami.

Czytajmy choćby szelesty w oliwkach, słuchajmy chętnie, gdy czytają nam inni. Niech to będą nienapisane przewodniki, nie wymyślone jeszcze modlitwy.

Wiatr wieje czasem od lądu, niekiedy od morza. Śledźmy te informacje z dużą ciekawością.

Jaszczurka na murze także napęla się światłem. Przyjmujemy dużo światła na nasze ciemne dni.

Zazdrośćmy trochę wyspiarzom, kiedy siedzą długo w swoim bistro przy porannej kawie. Przyłączmy się do nich. Trochę udawajmy.

Kochajmy nawet przepaście, po coś tak mocno i gwałtownie istnieją.

Zapisz to zdanie, gdy ona zmywa sól z ciała, otula się ręcznikiem i suszy włosy, potrząsając głową.

Kupuj czarne kajety, one długo służą podróżnym.

Motyle traktuj z należną uwagą, to przecież prawdziwi książęta.

Słuchaj jak ciekąca woda orzeźwia rośliny i gaj pełen
lewantynek łagodnie się uśmiecha.

Pakuj się mądrze, aby wszystko było łatwo dostępne – turecki
talizman przeciwko złemu oku, teatralna lornetka, perfumy
i fular.

Jeśli niepokoisz się nieco przed podróżą, pomyśl, że to
właśnie ciekawość i zapowiedź zmiany. Na wszelki wypadek
pospaceruj jeszcze w porcie, przeczytaj stare ogłoszenie na
szybie zamkniętej piekarni. Nie zawsze wiadomo, co nas może
dotyczyć.

Niekiedy chmury wyglądają jak ogromne ptaki. Przypomnij
sobie, co przypomina twoje życie.

Pijmy w ostatni ciepły wieczór w południowej stolicy
czerwone wino *Faust* – zasłużyliśmy na nie, zwiedzając długo
bezludne muzeum, pozdrawiając Caravaggia i Goyę, i infantki
Velazqueza, a także kąpiącą się w jasnej zieleni dziewczynę
Renoira. Teraz, po zgaszeniu świateł, czułe anioły przewracają
tam kostki domina.

Założmy czytana książkę ostatnim banknotem i spójrzmy
na czaple za oknem. Stoją na łąkach na jednej nodze, my nie

musimy. Nie spóźnijmy się na ten widok.

Zarabiamy tak jak rzeczy w przechowalni bagażu – przynoszą
komuś zysk dlatego, że są.

I nie miejmy pretensji do godzin, że są i przemijają. Omijać
wypada tylko jałowe i puste.

W nowym mieście naszego postoju kupmy bilety na
melancholię, a wakacje oddajmy na chwilę do szatni.
I wypasajmy czarnego konia na cesarskich trawnikach.

Po stronach niekonieczności lubi spacerować spóźniona
biedronka. Nawet, gdy już nastał październik.

I podziwiamy popiół. Przyjmuje kształt naczyń. Wszędzie mu
wygodnie.

* * *

Wychodząc rano, niby przypadkiem, zostawiła
 podarowane wczoraj konwalie i ciągle napętnia pokój
 mrocznym zapachem ta noc. Wypełniony,
 patrzę teraz na harującą od świtu Wisłę:
 robotnicy ciągną przez służę barkę z węglem –
 ich ruchy niezbędne i skuteczne, mówią,
 ile trzeba, żeby się zrozumieć, czasem tylko
 gest ręki. Barka odpływa ciężko wypełniona
 swoim sensownym ładunkiem. – Jeżeli mimo to
 będę pisał wiersze: tylko słowa niezbędne,
 by się porozumieć, proste fakty: rzeka,
 zapach kwiatów, ruch ręki zrozumiały
 dla dwóch ludzi i tego, kto
 na nich patrzy. To jest
 wszystko. I tylko to
 nas nieskończenie przerasta.

* * *

Dlaczego nie ma Cię dla mnie. Dlaczego nie widzę
 śladu Twojej ręki w nieludzko sensownej konstrukcji
 źdźbła trawy. Ten śpiew kosów jest dla mnie tylko
 bezpieczny, nie słyszę Twojego słyszenia. Nie słyszę
 głosu przeszywającego zgiełk dnia. I nocą,
 utopiony w jej ogromnym oddechu czuję, że wszystko
 dzieje się ze mnie: pomiędzy mną a ślepą gwiazdą
 przebiega mroźna droga trwogi, moja miara
 nieskończoności, która skończy się ze mną. Dalej nic
 nie widzę. Nie widzę, bo za mało wierzę,
 że widzę? A może to jest tylko tym głodem
 ujżenia i nie ma nic oprócz tego głodu
 przeszywającego nagle w zgiełku dnia, w katedrze
 trawy, pod martwym okiem gwiazdy.

* * *

Za oknem deszcz, szklanka herbaty na stole,
 lampa – tak, może naiwnie, widzę cię,
 za pięć, za dwadzieścia, za sto dwadzieścia pięć
 lat, odczytującego ten wiersz: myślącego o mnie, człowieku
 sprzed dwudziestu czy stu dwudziestu lat – jak
 żyłem? Ja i moja epoka: beznadziejnie zmęczeni ludzie, kilka
 dat, miejsc klęski, nazwisk: zaklęć, które powtarzaliśmy
 wtedy, z dziecinną nadzieją żyjących, głupszy od ciebie
 o mądrość, którą czas dał tobie: żyjącemu
 po wszystkim: po nas, po wszystkich. – Tak mało
 umiem ci przekazać, tyle co wszyscy. Lecz przecież
 żyłem i nie chcę umrzeć cały: pozostać
 dla ciebie każdym, przedmiotem statystycznej
 litości albo pogardy. To, co było tylko,
 tylko mną, jest poza historią. Więc powiem o sobie
 jedyną obu nam dostępną mową: o zapachu mokrego
 kurzu miejskiego za oknem (spadł deszcz), o stole
 uwierającym łokcie, tykaniu zegara, smaku gorącej
 herbaty, o świetle lampy, które raziło mnie w oczy
 kiedy pisałem ten wiersz – powszechną mową wszystkich
 pięciu zmysłów,
 nieśmiertelnych

Z Siergieja Jesienina

Nad śnieżną równiną księżyc białe łśni,
 Całunem okryta ziemia wkoło śpi.

Tylko w leśnej głuszy brzoza w bieli łka.
 Kto tu zginął? Umarł? A może to ja?

Jej nigdy za późno

Jej nigdy za późno. Jej nigdy za wcześnie.
 Utrudni, zaboli – niełatwa, nie tania to łaska.
 Samotna. Pokona wierzchołek, przepłynie ocean
 i nie da się wykląć, przemilczeć, zaklaskać.

Nie w porę, i w lament i w zamęt,
 choć drzwi zawarte, wejdzie niby złodziej.
 Kto czuwa, ten czci Ją – szanuje i szuka.
 Wierzy, że jest takie słońce, które nie zachodzi.

Dom żaden nie obcy, kontynent, ni człowiek.
 Prostotę rozsiewa, gdzie nasza zawiłość.
 Raz ciszą, raz głosem – raz korna, raz walczy.
 Jej wszystkie wiary, nadzieje. Ma dla nas cierpliwość.

Więc cieszymy się sobą – w radości i smutku
 zstąpiła na ziemię, dała się ukrzyżować.
 Byśmy nie byli zdani za ledwie na siebie,
 byśmy miłowali. Dali się miłować.

Dzień zaczyna się nagle

Dzień zaczyna się nagle
 Dzień znika nagle
 Życie zaczyna się nagle
 Życie kończy się nagle
 Zostaje miłość

Lśnienie

Maszynę do szycia „Singer” wychwalam.
 Z niej chleb, i przenoszenie z niej rąk ojca
 na moją głowę w niedzielę przed południem.
 W niej jak w morzu czterdzieści lat ojca zatopionych
 czterdzieści lat upartych
 dochodzącego człowieka
 do soli i prawdy życia.
 Z niej chleb, i to co miałem
 w świąteczne uniesienie.
 Z nią ojciec niejedną noc
 przegadał i prześpiewał.
 Z niej prawda ostateczna wynika
 jak nieustająca muzyka
 ludzi dających przedmioty
 zaprzeczających grozie.
 Ona rzuciła wyzwanie
 pogardzie nocy człowieka.
 Zalśniła i minęła
 jak zalśnił i minął człowiek,
 który na niej pracował
 nad stawaniem się świata
 w jednej z tysięcy pracowni.
 Zalśniła i minęła.
 Jest echem. Ziarnem. Pamięcią.
 Nie zapłacona radość.
 Chyba porankiem nad wodą.

Maszynę do szycia „Singer” wychwalam –
 jej igła, jej czółenko, jej kółko, jej rzemyk – ostateczne.

1980

Podpowiedz mi dobrą rolę

Podpowiedz mi dobrą rolę,
bo koślawą dusza taka –
sufler bardzo mi potrzebny
w czas dramatu tego świata.

Podpowiedz mi dobrą rolę
Podrzedną lecz nie statysty,
Który brnie w zagadki świata,
Nie zna dobrze ich. Lecz myśli.

Strofy ma, choć wie, że cudze
lecz tak piękne i wyraźne –
dawnych wieków – a współczesne,
aż się zdają, że są własne.

Wątków sztuki nie rozumiem
Lecz nadzieją ciągle żyję,
Że zło będzie ukarane,
Sprawiedliwość się rozwinie.

Po intrygach i podstępach
Po wygnania poniewierce,
Ktoś zgubiony się odnajdzie,
Aż zabije mocniej serce.

I daj dobre zakończenie
Nie natychmiast, nie najprędzej,
w piątym akcie albo szóstym.
W akcie prawdy, w akcie śmierci.

Lecz bądź ze mną w życia próbie,
Gdy się płaczę, i mam tremę.
Człowiek w tym teatrze świata
nie ma nic. Nic oprócz Ciebie.

Wybór najwyższego kapłana Jana Pawła II

Idę znad Wisły
gdzie poeci zawiązują śmierć o poranku
w chustę czterech wiatrów
pozdrawiają swego Boga wśród mgieł
na wielkim ołtarzu przyrody
i jak Symeon podnoszą prawdę
i ofiarowują.
„znak któremu sprzeciwić się będą”

Idę z twoim imieniem jak z tarczą
zachęcony do udziału w wielkiej
Tajemnicy

Bo ty jesteś
Opoką
dzięki której dzieje się coś
Niewy tłumaczonego
Chleb przemienia się w ciało
Wino przemienia się w krew
Losy świata powolne są nie naszemu
Rozporządzeniu

Powróćmy do kamieniołomu
ludzkich serc
nienawiści żrącej jak soda

podartych butów pokory
zwykłego dnia
do uśmiechu który pojawia się nagle
jak zimorodek nad strumieniem

Potem już do Ojczyzny

Noc jest wyrazista
i daleka

Lęk czuwania

Czy zdołam uniknąć piennej kipieli
śmierci która podsypuje raz po raz
świeży proch czerwonej rafy

Czy zdołam uniknąć owych godzin
w których na siłę zechcą oblec mnie
w pokorę i wyrzeczenie się wszystkiego

Bo przecież przygotowałem siebie na ten czas
mówiąc: nie lękaj się
prawda często długo się mozoli
jak orzeł na ocienionym poddaszu chmur

Czy powinienem myśleć o lęku
właśnie teraz
kiedy zaczęły kłócić się trawy dojrzałych dni
kiedy nauczyłem się mieszkać
w sąsiedztwie pokrzyw i ostów
i kiedy wiem że w życiu dokonałem niewiele

Czy powinienem bać się porażenia błękitu
który oplata się co rano wieńcem
lecących ptaków

Czy powinienem bać się porażenia
sfery uczuć wyższych

narodu
i tego abym nie został
wyłamany
z szeregu walczących o wspólną
prywatność naszej świadomości

Czy powinienem złożyć w ciemności
jak wiatr czy – jedynie czuwać
aby nie wygasło pulsujące ognisko
mojej gwiazdy

Okrutna pamięć

Pamiętałem z dzieciństwa rozbijając pierwsze
orzechy
że dziadek go nienawidził
Zwykle potem pędziłem po proszki „z kogutkiem”
od bólu głowy

Po latach czas nadwyrężył pamięć po dziadku
wycięto orzechowe drzewa
a mimo to
rozpoznałem
dałbyś głowę że teraz w czci godnym jegomościu
podstarzałego pana Staszka

Rozluźniony wewnętrznie
może nadmiarem wypitego piwa
z łzą rozczulenia jaką wywołuje
chwilowa słabość
i przełamujące się draństwo
przesuwając szkło w spoconych dłoniach
skory do zwierzeń
zaczął nagle mówić o ludzkich
błędach

Niby nie miał im za złe
źle zrozumianej
ideologii i
poznawczego dysonansu

Tak
chyba niepotrzebnie
bił
niektórych po głbie
łamał palce
wrywał paznokcie
nieosobiście
nie osobiście

Ważne było myślenie
grupowe
ten akt strzelisty wiary
Mimo wszystko ludzi mu żal
walczył z „plugawym karłem”
a oni byli tacy głupi
wybierali „samokrytykę”
przyznawali się do wszystkiego
Jak opętani
wyli
To było nie do zniesienia
To mogło zdarzyć się
wszędzie

Nie broniła go argumentacja
ekspiacja
chęć uporządkowania

za wszelką cenę
stanu narodowościowego
absurdalne wielkie liczby

Nie przemówiła za nim frontowa
koszula
która mogła wisieć w szafie
z ciemnymi blaszkami krwi
buty
które nie mogły prosić o
nowe rzemienie
manierka w której uskarżałby się
ostatni łyk wody

ani wycięte orzechowe drzewa

Gwiazda dobrej nadziei

Prowadzony jak niedźwiedź na powrozie
czasu w którym dzwoni niezmierzona
dalekość
wrywam się i pokazuję łapy z pazurami
Gnam ulicami i ryczę
Czuję gorący oddech
prześladowców
Zaplątany w sieci
okaleczony
wzięty na szorstki sznur
prowadzony przez gwarne ulice place
wsluchuję się w spadające jak szyszki
ostrzeżenia
„nie karmić, nie karmić zwierząt”
i w brzęk pieniędzy
wsypywanych
opiekunowi do woreczka

Władcy umysłów

Władcy umysłów potrzebują teatru
absurd jest ich największą siłą
Beckett Beckett

Łapę lwa wygrzebuje
mocny podmuch wiatru
przypomina czas faraona
wylewy Nilu
cielsko krokodyla
i zjawiasz się na ustach kapłanów Ozyrysie

Wszędzie oczy i uszy królewskie
mury Bastylii
mroźne ściany Syberii
oflagi
stadiony zamienione na cmentarze

Uśmiechnięty Goebbels wśród dzieci
Doniosły moment
do powtórzenia w Korei Rosji Rumunii

Wznoszona wielkość
(młode orzechy)
Aleksander Wielki
Neron Cezar Napoleon
Czeng

Zabroniona mowa
zakazane piosenki
Zabrana ziemia

Rzeka krwi
pozbawiona brodu
szumiąca gniewnie

My tej nocy...

My tej nocy jesteśmy własnym światem.
My tej nocy jesteśmy jednym ciałem.

Nie zasypiaj, dla nas ta chwila
– choć za oknem zwyczajny deszcz
mokrym palcem pisze po szybach.

Czołga się w mroku obłok po górach.
Szczeka pies gdzieś na uwięzi.

Nie zasypiaj, dla nas ta chwila
– choć za oknem wiatr
w gąszcz przenika sosnowych gałęzi.

Dokąd śpieszy tętno twych skroni?
Tylko dotyk mój zamiast słów.

My tej nocy jesteśmy jednym ciałem.
My tej nocy jesteśmy własnym światem.

Wszystkich pragnień twych nie poznałem
– chociaż jesteś
morzem bliskim... dalekim
i motylem... i ptakiem... i kwiatem.

Nie zasypiaj, dla nas ta chwila
– choć za oknem zwyczajny deszcz
mokrym palcem pisze po szybach

* * *

Gdzie ta lanca i trąbka co grała – Na koń!
 Gdzie te balowe suknie Wołynia Podola?

Pantofelki rzucone przez historii wiatr
 Butwieją w białej trumnie
 Niskiego jaśminu.

Gdzie ta trąbka co grała w podmokłej olszynie
 Requiem dla akselbantów i requiem dla świata

Na posadzki co przeszły przez ogień i proch
 Runie ostatnia szarża
 Chłopców z rozmarynu.

Gdzie jesteście gdzie jesteście gdzie wasze ramiona
 Które brały ich w koczach w linijkach i śmierci?

Przeszedł z trąbką archanioł
 Po dworskich gazonach
 I byliście na zatrąbę wydanymi dziećmi.

Gdzie ta lanca i trąbka co grała – Na koń!
 Gdzie świat który umarł w szwoleżerskim gniewie?

Opadają balowe suknie znika mrok
 To wnuk stojący w gromie
 Pod jaśminu krzewem.

Opadają balowe suknie słysząc kocz
 Umarli odjeżdżają
 W podmokłej olszynie

I klejnot wyłowiony z głębi martwych wód
 Unosi w ręce wnuk
 Spod krzaku jaśminu.

Pokolenie

Jestem wypalonym miastem w którym tylko gruzy
 Jestem gwiazdą wystygłą tylko lawa i popiół
 Jestem śliską wnętrznością dawno
 Wygasłej rzeki.

Chodź – zrobimy miłość a ktoś o niej zapomni
 Chodź – zrobimy przyjaźń a ktoś strzeli ci w plecy
 Chodź – zrobimy wierność
 A rozsypie się czas.

Jestem pustym oknem i pustym pociągami
 Jestem zimnym świtem
 Nad taflą jak śmierć
 Jestem snem którego wciąż
 Nie mogę zapomnieć.

Gorycz pisania

Wisława Szymborskiej

Radość pisania biegnie do przeszłości
 okaleczoną sarnę wypatroszą w rzeźni
 i strzał w tył głowy weźmie
 piękna metafora.

Doznający przecinek ginie w tłoku świata
 to nie kredowy nad nim
 zamyka się las.

To niebo wybrukowane nadzieją estety
 sypie proch szary
 i kawałki gwiazd.

Zbiec do źródła? Lecz przecież
 nie ma tego źródła
 posłuszne pióro skreśli
 pętlę albo gazu
 ulatujący obłok
 jak wieczna duszyczka.

Nie ma śmiertelnej zemsty jest
 zemsta śmiertelnych
 i przegrana z obławą
 potyczka.

Otto Schimek

Tyś jest mym Panem
 a nie Adolf Hitler
 nie będę do nich strzelał
 bezbronnych nad rowem
 chociaż się bardzo
 głodu i ciemnicy boję
 tyś jest mym Panem
 a nie wielki Führer.
 Nie jestem synem cieśli
 i krzyża nie będzie
 moje ciało z tamtymi
 do rowu wrzucone
 chwalić będzie przed Panem
 prawdziwą Golgotę
 aż rozerwie zasłonę
 i upadnie Führer.

30 XII 1984

* * *

Najgłupszy, najnaiwniejszy z narodów Ziemi,
 wierzący w slogany i w złotoustych Bogów,
 w godzinie próby chroniący się
 za murem modlitwy,
 wyznający cześć dla cwaniaków, pogardę dla frajerów
 pod murem, na wygnaniu, w karcerze i w celi,
 naród pijany jak mgła,
 przewiewana na klepisku
 narodowej stodoły.

Mówią że ciebie już nie ma

dla B.M.

Mówią że ciebie już nie ma

ale wiele lat wstecz
na greckim posterunku
po nocnej podróży przez cienie barbarii
całuję ziemię
Euterpe

mówią że ciebie już nie ma

ale na końcu autostrady i słońca
otwierają się wrota
Taorminy z greckim
teatrem który nie chce
mnie wypuścić

mówią że ciebie już nie ma

ale po całym dniu
podpity i strudzony
śpiewam wraz
z kłoszardami na
stacji metra
Denfert – Rochereau
hymn miłości Paryża

kłamcy i szalbierze
mówią że ciebie już nie ma

ale kiedy będę umierał
zawołam tylko
Matkę

i ciebie

Europo!

5.03.2016

Ziemia

Powróci
 powróci gdziekolwiek będziesz
 Stanie wobec ciebie
 skalnym obrywem światła
 po potopie

Świat się rozproszy
 Marzenia zmurszeją
 Sny spłoną
 Ziemia dzieciństwa
 do twarzy twojej przywrze
 muzyką przestrzeni
 czasu karmiącą ręką

Zrozumiesz
 Dopiero wtedy zrozumiesz
 ciszę na polach bitewnych
 spowiedź królewskich kamieni
 gniazda z rąk strącone
 ciemność depczącą prawdę
 płomień wolności
 zakrzepły jak owad w bursztynie
 milczenie świtów mlecznych
 Zobaczysz
 Pod powiekami zobaczysz
 ziemię dzieciństwa swego

jak twarz wyrzeźbioną w mroku
 jak schody do katedry
 jak śmiech radosny w sadzie

I uwierzysz
 Powróci
 Gdziekolwiek będziesz powróci
 by urodzić ciebie
 po tysiąckroć

Ziemia dzieciństwa –
 Twoje słońce

1986

* * *

Kto zaznał okrucieństwa życia
i ciało jego poćwiartowane na kawałki
rozrzucone jest –
tęskni do
wspólnoty dobra
wspólnoty piękna
wspólnoty prawdy

Zanurza się we śnie
jak w blasku gwiazd
niewyczerpanym
w dobro
w piękno
w prawdę

A kiedy się zbudzi w ciemności
wyplukiwany przez głód
i nie stanie się światłem –
zamieni wspólnotę piękną w seks
zamieni wspólnotę prawdy w zysk
zamieni wspólnotę dobra w obojętność

1985

Wilk o miłości

Wszystko jest żerowiskiem
Krwawy triumf
Krwawy odwet
Reszta –
wysychająca łupina

Nie spotkałem niczego
co by nie było naczyniem śmierci
zanim
nie doznałem czegoś –
gorętszego niż łów zwierzyny
wścieklejszego od roju szerszeni
oślepiającego bardziej niż pożar
groźniejszego od przydeptanej żmii

Jestem
w niewoli bez pęt
w ucieczce bez pogoni
ani w głodzie
ani w sytości
ani w sile
ani w słabości
ani trwam
ani umieram

1979

Pamiętaj żeś synem żebraka

Pamiętaj żeś synem żebraka
Choć będą ci wmawiać
Królewski rodowód

Nieuleczalnie samotny
Twoje ciało dzikie
Twoje serce drżące
Twój mózg z waty

Bezsilny władco
Niczego nie możesz ocalić
Wszystko się rozpada

Obcy i pusty
W gorączce idei
W delirium pychy

Nie podnoś lamentu
na gruzach tysiącleci
Nie kryguj się przed paszczą tłumu
w klatce metropolii
Ani nie całuj buta mocarstwu
Imperium to błąd
Które imperium przetrwało?

Pamiętaj żeś synem żebraka
W kamieniu zobacz swoje barbarzyństwo
W wodzie cierpliwość
W źródle namiętności
W burzy szaleństwo
W trawie pokorę trwania

Ty
Człowiek pośród korzeni słońca
powitaj górę i ważkę
w godności żebraczej

1989

Dano mi

Dano mi jeszcze jeden dzień
i jeden krok
na pękającej krze

Przestworza skrzęciemnością
Ja –
zapalona lampka na krze

Jeden krok ku prawdzie
Ogarnia mnie strach
O prawdzie nie wiem nic

Idee fakty eksperymenty
są szukaniem prawdy
Prawda to całość

Całość wyklucza jedynność
mojego świata wewnętrznego –
naczynia pamięci pełnego

szumu światła gdy pod stopami
kołysze się skała rozpostarta nad
spadającą pochodnią przepaści

Całość Za wszelką cenę całość
w danej nam części scalania
dzielenia przemijania

Jeden krok ku prawdzie to
utopia całości
kalectwo czasu

i wieczność
we mnie –
topniejącej krze

1999

* * *

To odrzucone
 stłamszone
 jest żywiołem
 nagle spełniającym czyny
 których nie dosięgła wyobraźnia

To zatajone
 unicestwione
 niemożliwe
 jest pięknem
 najprzejrzystszym

1980

Pobłogosław mnie odrobiną dziwactwa.

Pobłogosław mnie odrobiną dziwactwa.
 Daj wiarę w przydatność
 pokrzyw, jemióły i bagnistej rzeczki,
 w celowość rzucania na jej wodę patyków
 i patrzenia, jak płyną.
 Daj prawo
 do wybrania głupoty.
 Do śpiewania ulubionej piosenki,
 nawet, kiedy fałszywie.
 Do podskakiwania w górę z wyciągniętą ręką,
 żeby z uroczystej tkaniny
 piękna niezmiennego i wiecznego
 urwać jeden, krzywy, zetlały
 ale własny strzępek.

Rano na Grodzkiej

Wyglądam na ulicę przez zmętniałą szybę:
 to kiepski widok i przemokła wiosna.
 Kiedyś chodził tu chłopiec.
 Miał na przedramieniu
 serce, rybę i strzałę,
 a w duszy miał pogardę dla tych wszystkich rzeczy
 na które kłął lub patrzył.
 Teraz już nie patrzy,
 bo umarł lub zaginął.
 Chłopak lubił ginąć.
 Skrzypek na ulicy
 gra o pieniądze.
 Choć mu nikt nie wierzy,
 to wszyscy płacą,
 cóż ma bowiem wiara
 do wiosennego skrzypka.
 Gołąb wzdłuż chodnika
 idzie piechotą, przystaje na chwilę,
 spożywa resztki po skrzypka śniadaniu.
 Wyjątek – co we flaszce.
 Gołąb jednak może
 przetrwać bez wódki.
 Toteż trwa.
 Wilgoć ciągnie z Wisły:
 skutek dawnych błędów
 budowania miasta nazbyt blisko natury.

Resztki tej natury
 będą mścić się dość długo.
 Gołąb o tym nie wie.
 Skrzypek, choć się domyśla
 gra do końca nuty,
 bowiem po to jest skrzypkiem.
 Tak, tak. Właśnie po to.

Jesienne odloty

Coraz wcześniej ciemniej wieże, coraz więcej na Rynku gołębi.
W zamkniętym pustym kościele rozbrzmiewa Missa Solemnis.
Może to nie ta muzyka i źle postawione pytanie
nigdy go nie poprawisz, jeżeli tu pozostaniesz.

*

Sporo potrzeba odwagi, by wreszcie się rozstać ze sobą
rzeki szarego asfaltu już płyną po sennych drogach.

*

Oprócz was przyjaciele cóż jest tu do porzucenia?
Niewielka to była ofiara i małe też będzie zbawienie.

*

Nad miastem płynie listopad i niebo jest mętne i niskie
znowu ukryto Graala, który był złotym półmiskiem.
Niech Graal spokojnie spoczywa, zostawmy te tajemnice
jesienne Plejady świecą nawet nad brudną ulicą.

*

Któż chciałby iść przez pustynię, przez jej błękitne miraże
nie ma na końcu jaskini, gdzie czekałby Wielki Starzec.
Lecz po cóż wyjaśnienia. Nawet w niedługiej podróży
każdy odnajdzie wskazówki takie, na jakie zasłużył.

*

Posłuchaj szumu autostrad, kiedy ucichną na chwilę
wokoło jest tyle podarków, jeśli ktoś umie je przyjąć.

*

Nie trzeba wcale powracać i niepotrzebna ucieczka,
gdy nagle staje się jasne, dlaczego umiera dziecko.

*

Niech rzeczy się troszczą o siebie (cokolwiek może to znaczyć).
Bóg nic takiego nie mówił, lecz jednak ci może wybaczy.
On może zesłać samolot na dowód swojej łaski
i On może także sprawić, by bez ciebie w górach się roztrzaskał.
Spokojnie siądź nad potokiem, nie prostuj jego brzegów:
ziemia jak głodna pszczoła sama pędzi do Punktu Omega.
Nie martw się. Świat się wyzwoli i znowu będzie pięknie,
wielkie rzeki złapane w pułapkę już obmyślają swą zemstę.

*

Kos przysiadł w naszym ogrodzie, do podróży jesiennej nie gotów.
Jego problem. Bo ptasią sprawą jest coroczna konieczność odlotów.

Odmawiam

Odmawiam przyznania racji
wszystkim, którzy twierdzą,
że dobro obroni się samo,
że światło rozumu
poprowadzi nas Jedwabnym Szlakiem cnoty,
że Mistrza rozpoznamy nie po czynach,
a właśnie po słowach,
choć nie wiadomo, jakich
i będziemy spali długo i szczęśliwie.

Odmawiam modlitwę,
żeby to jednak była prawda.

Im mniej będzie mnie, tym więcej świata

Wyszedł z mody
i chyba
już mnie tam nie ma.
Trudno.
Można by teraz wrócić do siebie,
ale to nie tak –
albowiem:
im mniej będzie mnie,
tym więcej świata.
Wtedy
wiele rzeczy widzi się o świetle.
Na przykład:
z ciemności nocy lęgnie się jaskółka
i leci bez wahania w lawendowy obłok.
W ukrytych korytarzach
kret zasypia
śniąc przeżutą ziemię.
Można też usłyszeć
cichy syk przestrzeni
łagodny,
jak piosenka obudzonej żmii,
którą grzeje słońce.

Mowa

Milczenie przystoi temu,
kto już wie.
Dla pozostałych
żyć, to znaczy mówić.

*

Świat jest mową Boga, a prawa natury
są jego gramatyką.
Nie należy w to wątpić, choć pożółkły
ze starości
i dość zmartwiony wilk
siedząc pod leszczyną oznajmia światu,
że dawno przestał go rozumieć.

*

Mowa niepojęta bywa modlitwą.

*

A ten nieznajomy w podartym swetrze
ten obok, w samolocie.
i jaki miły!
Ileż nam powiedział
w swoim zupełnie nieznanym języku.

Umowa z Bogiem

No dobrze Panie Boże
załatwmy do końca
ten interes dla obu stron korzystny przecie
ty dasz mi wielką przestrzeń barw światła i czasu
i głosy ptaków
i szum oceanów
i dodasz zdolność do umiłowania
co miłowania godne
a ponadto
nie będziesz wzbraniać niczego co ludzkie
a ja ci za to zapłacę po latach
prochu garsteczką
pełną garścią siebie

1958

Antygona wołyńska

Jarosławowi Iwaszkiewiczowi

i zawędrowała Antygona na Wołyń
grzebać Polinika przetrzętego piłą
i odchyła gazety które go przykryły
i na próbę wystawia swój strach i swą miłość

a ty go nie ruszaj bo legniesz tu z nim
przyjdą kruki pogrzebią brata po swojemu
chałup spalonych wiał tu kadzidlany dym
odmówiła różaniec lufa erkaemu

że brat brata powiadasz
co ty o tym wiesz
ty znałaś miłość tylko
nie znasz nienawiści
przed ziemi otwarciem
białych rąk swych strzeż
i uciekaj nim wrócą o świecie faszyści

Dom starego poety

W domu starego Poety
wisi portret jego jeszcze pięknej żony
i pachnie walerianą
Stary Poeta ma hodowlę wierszy
one są jak złote rybki
welonki i księżycowe
czasem tylko śmignie
parka pirynii
Od kilku lat
jego sublokatorką
jest Śmierć
ale cóż ona
wraca do domu po całodziennej harówce
ani z nią pogadać
wypije filiżankę czarnej kawy
i idzie spać
do skrzypiącej szafy
czasem zadzwoni telefon
w drugim pokoju
ale zanim Poeta podejdzie do słuchawki
telefon przestaje dzwonić
Stary poeta mówi
pewnie ten ktoś myśli że mnie nie ma
Tak – ten ktoś myśli
że już nie ma starego Poety

Stary Poeta buduje zamki z popiołu
 ale kiedy wtyka w nie swą chorągiewkę
 rozsypuje się zamek
 więc próbuje znowu
 Przez jego okno wpada dużo jesiennych liści
 niekiedy wpadnie list ze świata
 wtedy stary Poeta
 czyta go i czyta
 i na każdy list
 odpisuje trzy razy

Paryż, październik 1976 r.

W młynie wesele

Na ślub nasz oraz na wesele
 Posłuż nam ostygły młyn
 Nikt mszalnych nie rozlewa win
 Nikt świec nie pali w tym kościele

Nie będzie dzwonów – ale za to
 Przez dziurę w dachu wróbla chór
 Wyćwierka nam Veni Creator

Przemówi do nas młyński kamień
 Łacińskich dobierając słów
 Mąką posypie czubki głów
 By chleb na stole był przed nami

Potem się zacznie weselisko
 I wyjdą myszy z mysich dziur
 I gacki zaczną latać nisko

A kiedy noc usłyszysz hałas
 Przyjdzie i od tej mącznej mgły
 Stanie się biała – całkiem biała
 Jak świt

Listy

Myślę o moich przyjaciółach Żydach
 odeszli zasłaniając się gwiazdą Dawida
 Myślę o Chaimie i o Izydorze
 o chlebie który tym samym kroiliśmy nożem
 Są dalej niż daleko
 piszą do mnie listy
 w których jeden arkusik
 pozostaje czysty
 jakby był przemilczany
 Wiem czego nie mają
 czego im brak w tym innym
 w obiecany kraj
 Kto razem cierpiał, razem
 bał się dnia i nocy
 musi i dalej szukać
 kogoś do pomocy
 i dzielić dziś nie chleb już
 ale tamtą pamięć
 tamtą sól z ran wyjętą
 a zakrzepłą w kamień

Odpisuję po polsku
 aby rozumieli
 żeśmy tylko po świecie
 gdzieś się zapodzieli

grudzień 1968

Nie dokończony rękopis

w jakąkolwiek udadzą się stronę
 trafią w końcu tam
 gdzie zostanie dla nich to jedyne miejsce
 nie zastąpią ich zostawione wiersze
 choćby były najlepsze
 poeci ruszą przed siebie
 zwodzone miesiące oświecą im drogę
 dalej będzie już tylko noc
 a świt już ich nie przywita
 na stole zostanie nie dokończony rękopis
 w którym zawsze jest jeszcze coś do wykreślenia
 nikt za nich tego nie zrobi
 i tak już pozostanie
 wiersz
 i cały świat
 ale już nie należący do nich

* * *

Daj Boże maku pełne pole
daj Boże dolę i niedolę

Daj Boże rzece bystrą wodę
nam niepogodę i pogodę

Daj Boże morzu dużo soli
nam to co boli i nie boli

Daj Boże łące bujną trawę
nam czyny prawe i nieprawe

Daj Boże lasom buki stare
nam zostaw wiarę i niewiarę

Tylicz

tu się zaczyna lata dojrzewanie
i srogość zimy swój napina więcierz
tu konie ciągną ciężkie wozy z sianem
i mętny Poprad moje pisze wiersze

tu się wiosenne przewalają burze
i wrony lecą w jedną tylko stronę
na mokrym niebie chmury jak kałuże
zielony z lasu wykrzesują promień

tu zboża w jasyr wzięte przez wichurę
w pokłon się cichy pochylają górom
i o jałowiec woły czyszczą skórę
a po trzech królach pyskiem kłapie turoń

tu się mieszają wszystkie roku pory
i wilki nocą gęsi z kojca kradną
tu w jesień wielka rośnie we mnie gorycz
choć złoty owoc rodzi w sadzie jabłoń

Powrót

a myśmy zeszli z gór jodłowych
aby na cerkwi pisać znaki
w oborze sieczkę żują krowy
w powietrzu modły wznoszą ptaki

a myśmy zeszli z hal połonin
aby budować domy z drzewa
w których ołtarzem byłby komin
a dymem zapach chleba

a myśmy przyszedli od potoków
aby się w buty z łyka obuć
i świat trwający nie od roku
naszemu oddać bogu

a myśmy przyszedli z ruskiej strony
aby pokłonić się ikonie
i nie wiadomo czemu dzwony
wyszczzerbił wiaty promień

a myśmy chcieli popa witąć
przed cerkwią leży kamień
nie można z niego nic odczytać
nikogo nie ma. Amen

Ballada o rodzicach

chyba Was nigdy tu nie było
bo kiedy drzwi otwieram kluczem
na puste krzesło światło pada
cień żaden nie drga w brudnym lustrze

stół Was naprawdę nie pamięta
i kredens i dębowa szafa
cóż znaczy jakaś tam poźółkła
splamiona tłuszczem fotografia

mundury na niej Trzeci Maja
tłum ludzi w środku Wy oboje?
to ma być dowód? o przepraszam
zbyt naciągnięte wszystko to jest

przynajcie lepiej że Was nigdy
nie było tutaj po co kłamać?
nikt Wam i tak nie uwierzy
nie warto głupstwa opowiadać

wyszli jak stali nic nie mówiąc
pod rękę Ojciec ujął Mamę
nie oglądając się za siebie
bezgłośnie zatrasnęli bramę

schowali się za krzak jałowca
(to z okupacji taki nawyk)
za chwilę czas jak zawiadowca
w kolejną podróż ich wyprawi

Nocny spacer

Zasnął księżyc nad miastem
jakieś pięć po dwunastej
bo mu znudził po niebie się spacer.

A ja świetny mam humor
co mi z „Jamy” przyfrunął
więc na miasto uśpione się gapię.

Z wieszczem sobie pogadam:
„Jak tam mieszasz się Adam”
I wysłucham jak zwykle hejnału.

Potem przejdę się Grodzką
bowiem lubię tak nocką
iść na Wawel zupełnie pomału.

Później wprost na Salwator
mocnych wrażeń amator
więc na kopiec Kościuszki się wdrapię.

Stąd popatrzę na miasto
z grzechów zwierzę się gwiazdom
i z powrotem na Błonia poczlapię.

O, już trzecia godzina
dzień się nowy zaczyna
pora wreszcie do domu pomieszkać.

Pierwszym wracam tramwajem
w którym jak mi się zdaje
pełno wokół mnie strasznych jest mieszczan.

Mgła osnuwa ulice
lecz w mansardzie co widzę?
Jeszcze lampa się pali gazowa.

To na pewno artyści
wygrać z czasem chcą wyścig
i swej sztuce wierności dochować.

Ale szybko czas płynie
każdy gość w pelerynie
jest już tylko wyblakłym wspomnieniem.

Nasza dumna epoka
innych ludzi wszak kocha
co innego zupełnie ma w cenie.

Litania

królowo kurzu rdzy i śniedzi
matko powietrza iłu gnoju
milcząca wieżo niepokoju
w kryjówce robotnika kreta
wciąż na twe łaski ufny liczę
przyjmij kulawe me litanie
i moje dary suchotnicze

królowo pastwisk łąk i gajów
chłodząca czoła w czas upału
świecąca nocą w Ostrej Bramie
podaj nam grzesznym swoje ramię
wesprij dobrocią winy przebacz
nie żałuj głodnym nigdy chleba
wyprostuj ścieżki
ludziom prostym
zbuduj do celu trwałe mosty

dobra królowo matko nasza
znieczierpliwionym pocieszenie
ułomnym wierszem się napraszam
ja wilczy pomiot sucze szczenię
pył okruch kropla mrówka żuk
niegodny twych całować nóg
pozwól bym myślał to co zechcę
i był do śmierci jakim jestem

Gdy zgaśnię telewizor

Jakże podobni jesteśmy do siebie
na tej fotografii:
dorośli opowiadają o wojnie
matka uczy modlitwy
oba upuszczoną kromkę chleba
całujemy w dłoń

Od tamtej chwili
nie było czasu na rozmowę
usiądźmy więc na chwilę za stołem
ty pierwszy opowiesz swoje życie
zaczynaj od telewizyjnego dziennika
który co wieczór prowadzi cię przez świat

A może w ten długi zimowy wieczór
przypomnisz sobie coś więcej

Opowiesz jak twoje ręce uczyły się pracy
jak twoja pamięć uczyła się historii
jak twoje oczy uczyły się piękna
jak twoje ciało uczyło się miłości

potem pomilczymy jak zamyśleni szachiści

Negatyw

W południe
na głównej ulicy
wyglądamy wszyscy
jak na zamazanej fotografii
białe tło śniegu
zielone tło liści
kolorowe tło jesieni

Wyraźnie wyszedł tylko
filozof Diogenes
fizyk Einstein
poeta Norwid
i oświęcimski więzień Kolbe

Spowiedź szewca

Nie jest źle:
mieszkanie, żona, dzieci
pies na podłodze
papuga w klatce
przed blokiem
malwy i słonecznik

Lecz jakże ja – mistrz
popatrzę w oczy
boga szewców;
nie było dobrej skóry
twardych igieł
brakowało dratwy

Rozklejone buty
szczerzą na mnie zęby
budzą mnie
w środku nocy

Nekropolia poetica

Lubię ten wielki
cmentarz poezji

Z pysznych grobowców
odpadają tynki
słowo po słowie
wers po wersie

Ze swoich zapomnianych książek
wstają umarli poeci
i żyją dzień lub dwa
dla dwóch czytelników

Mieli szczęście
bo obok nich
grzechoczą
kości i piszczele
asonansów, rymów
i metafor

I krzyczą poeci niesłyszalnym
głosem
prosząc o jedno wspomnienie
na ostatniej stronie gazety
gdyby mogli pisałiby od nowa
nie mogą

Czekają więc niecierpliwie
na ostateczny sąd
na nigdy im nie obiecane
zmartwychwstanie wierszy

Powroty

mojej Mamie

Mała i ślepa
ta uliczka
za nią już tylko
obce światy

Matka
przy furtce
długo stoi
w powietrzu
kreśląc
krzyża znaki

Słowo po słowie

Klęknij
Przed słowem
Nawet błahym

Przed zdaniem
Które dziś
Ktoś minąć
Raczył

Klęknij
Przed strofką
Przed linijką
Pełną niejasnych
Jeszcze znaczeń

Klęknij nabożnie
Cóż tam śmieszność
Bywa że pauza
Znaczy wieczność

* * *

Ciągnę za sobą
tę chudą dziewczynkę
Wiem
ukryła pod czapką z pomponem
marzenia o sławie
Wiem
zmieściła w sercu
całego królewicza z koniem
i kilka bezdomnych psów
Przystajemy
znów ją bolą nogi
Krzyczę na nią
Ma palce powalane atramentem
napisała powieść
Na fotografii
mój ojciec trzyma ją na rękach
moja matka nachyla się nad nią
Ona obejmuje królika –
moją ulubioną zabawkę
Zostaw mnie – mówi –
jesteś już przecież dorosła

Zabawa w chowanego

Kryjemy się przed sobą
 I nikt nas nie znajdzie
 chowamy się w swej skórze
 jak ślimak w skorupce
 ukryliśmy myśli w myślach
 ukryliśmy serce w sercu
 ręce w kieszeniach
 cierpienie w uśmiechu
 a gdy ktoś w stół uderzy
 zatykamy usta
 żeby nas nie zdradziło
 nieostrożne słowo
 a gdy się czerwienimy
 to tylko z gorąca
 a gdy bledniemy
 to jedynie z chłodu

Zabawa w chowanego
 jest trudna i smutna
 i grozić może śmiercią
 z pragnienia i głodu

Kropla po kropelce

Mniej mam kłopotów z duszą
 znacznie więcej z ciałem.
 Dusza cieszy się zdrowiem,
 łyka krople blasku
 a jeżeli się smuci
 informuje o tym
 mamy swoje sposoby
 by zaradzić klęsce.

Ciało nie jest przyjazne
 straszy represjami,
 nie da się zlekceważyć
 działa skrytobójczo,
 chełpi się swą ważnością
 z terminem niepewnym
 podaje mi trucizny
 kropla po kropelce.

Szczęście

Są kłopoty z ustaleniem jego tożsamości
nie wiadomo, że jest, gdy jest.
Dopiero poniewczasie
daje się badać i rozumieć

Mówi: tak, to ja,
pamiętam tę bystrą rzekę,
psa, niosącego dumnie gałąź,
trzy osoby, idące drogą – trzy pokolenia
i to, że nikt z was (prócz psa)
nie zwracał na mnie uwagi.

Czasem jednak pozwala się rozpoznać
samo rozdaje wizytówki
za które wystawia nam potem
słony rachunek łez.

Grzech pierworodny

Cóż to za wina
że nie ulega przedawnieniu,
że jest dziedziczna
i skazuje na wieczną karę
bez możliwości amnestii

Cóż to za wina –
chęć poznania mimo zakazów
ta akuszerka wszelkich odkryć
ten anioł o ikarowych skrzydłach –
ciekawość

* * *

Jeżeli składamy się w tylu procentach z wody,
to jak mamy nie być
płynni i niestali
i czasem nie zamieniać się w lód?

Rodzina

moja matka nie miała sił
aby dojść do miasta
zamieniła już wszystkie prześcieradła
na żytnią mąkę
pozostało jedynie czekać na Józefa
który wracał z niewoli niemieckiej

i ojciec przyszedł
mówił że na świecie
dużo herodów
a choć chodzą bez korony
to co wioska rzeź niewiniątek

potem ojciec poszedł na kolej
bo ciesielka nie była na czasie

a ja zacząłem nauczać

Moje podwórko

na moim biurku
 małym poetyckim podwórku
 dwie pociechy i Maria
 skromnie mieszkają
 w skórzanych ramkach
 jest też trochę kartek
 jeszcze słowem niepokalanych
 lampka zupełnie nocna
 są i trzy kasztany
 od córki syna i Marii
 – to na szczęście

na moim biurku
 jest jeszcze pióro
 wiecznie himeryczne
 które wciąż prosi
 cały dom o ciszę
 jest i długopis
 w niebieskim kombinezonie
 ten od szarej roboty

na moim biurku
 są nocne do wiersza
 radosne powroty

Czasem z wami mówię

czasem z wami mówię
 czasem do was szepczę
 szarpię się przez szparę
 szarego szalasu
 w którym przyszło żyć

Matko z wodą w kolanie
 utykająca na prawą nogę
 która idziesz po mleko
 pustą drogą mleczną

Wojtku z gitarą na ramieniu
 która stroi ci
 każdą struną
 jak za dawnych dobrych lat

Alicjo wcale nie z krainy czarów
 urodzona w tym samym dniu
 miesiącu i roku co ja
 której pociąg przejechał
 pelerynę w szumie deszczu
 że nikt nic nie słyszał
 a maszynista w moich snach
 do dzisiaj nie może zahamować
 pociągu pełnego winogron
 i bułgarskich pomidorów

i ty Władku
który tak bałeś się śmierci
że musiałeś ją wyprzedzić
ale tak trudno coś powiedzieć
gdy w powietrzu jesiennym

tyle was że nawet jabłoń
ostatnie jabłko traci powoli
ruchem jednostajnie opóźnionym
bo to wciąż wasze ręce
dobre jak górskie powietrze
podtrzymują owoc na drzewie
aby usiadł miękko w trawie

nawet ostatnie jabłko
nie zgubi się w sadzie
gdy mądry gospodarz
rękę na nim kładzie

Czarny blues o czwartej nad ranem

Czemu cię nie ma na odległość ręki
Czemu mówimy do siebie listami
Jednostajnie opóźnionymi
Gdy ci to śpiewam – u mnie pełnia lata
Gdy to usłyszysz – będzie środek zimy

Czemu się budzę o czwartej nad ranem
i włosy twoje próbuję ugłaskać
Lecz nigdzie nie ma twoich włosów
Jest tylko biała nocna lampka
– Łysa śpiewaczka

Śpiewamy bluesa – czarnego
(bo czwarta nad ranem)
Tak cicho żeby nie zbudzić sąsiadów
Czajnik z gwizdkiem świruje na gazie
– Myślał by kto że rodem z Manhattanu

Herbata czarna – myśli rozjaśnia
A list twój sam się czyta
Że może go śpiewać
Za oknem mruczą bluesa ciszej
– Topole z Krupniczej

I jeszcze strażak wszedł na solo
 Ten z Mariackiej Wieży
 Jego trąbka – jak księżyc
 Biegnie nad topolą
 Nigdzie się jej nie spieszy

Już piąta
 Może sen przyjdzie
 Może mnie odwiedzisz

Serie

Seria z karabinu
 Maszynowego
 Jest rozrzutna
 W każdym calu
 A nawet w całym
 Chorym wymiarze
 Tego świata naszego
 Już odchodzącego
 Zły zamachowiec
 Strzela a ślepy los
 Nie podpowiada
 Gdzie kule kłaść
 Bo taki gęsty tłum
 Na placu się zebrał
 Że w kogoś się trafi
 A resztę przeczyta
 (jeśli zdąży za życia
 bo na niego też polują)
 W gazecie porannej
 Albo znajdzie na
 Zbiorowej fotografii
 Którą zwykle się robi
 Po takiej tragedii
 I wrzuca na czołówkę
 By inni mogli zobaczyć
 I też się przestraszyć

Serie na banknotach
 Są bardziej konkretne
 A nawet trafione
 Bo jednak wiedzą
 Komu trzeba płacić
 Za owo strzelanie
 I ile srebrników
 Za każdą kulę
 Celnie wysłaną
 Na rękę dostanie
 Zły zamachowiec
 Dlatego najczęściej
 Obie serie trafiają
 Tam gdzie trzeba
 I nie ma zmiłuj się
 Bo każdy jak umie
 Po własnym uważaniu
 Idzie do swojego nieba

Stacja druga

Jeśli krzyż dźwigać to jedynie własny
 Nawet wtedy gdy ciosany grubo
 Na rany po krzyżu przykładac plastry
 I nie nosić zadry w sercu zbyt długo

My od półwiecza bez krzyża na miarę
 Za to z Zachodu i Wschodu nam go nieśli
 Martwe szubienice krzyczały nad ranem
 Sierp z młotem był jeszcze hojniejszy

Jego krzyż celnie wbity w plecy
 Musieliśmy do wczoraj jeszcze nosić
 I dźwigaliśmy go – chcąc nie chcąc –
 Bo budzili nas nagle w środku nocy

Dziś też krzyż nad miarę naszych czasów
 Ale bardziej wolne nagie jego ramiona
 Może mniej siły w nas i zapasów
 Lecz wreszcie własna ta droga krzyżowa

Alicja Baluch – profesor nauk humanistycznych, literaturoznawca; ur. w 1944 r. we Lwowie. Wydała trzy tomiki poezji i kilka książek dla dzieci i młodzieży: *Bezdech* (Kraków 2004), *Kreska i kreska* (Kraków 2005), *Kot ma psa: dla i o nastolatkach* (Kraków 2006), *W szklanej kuli. Wyczytanki Alicji Baluch z Baśni braci Grimm* (Kraków 2009), *Bajarz krakowski. Baśnie, legendy, opowieści i wiersze o dawnym i współczesnym Krakowie* (Kraków 2012), *Jutro odlot! Liryka rozłączenia, rozstania, odejścia* (Kraków 2013). Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Józef Baran – poeta, publicysta, krytyk literacki; ur. w 1947 r. w Borzęcinie k. Tarnowa. Zadebiutował tomikiem *Nasze najszersze rozmowy* (Kraków 1974). Wydał kilkanaście zbiorów poetyckich, m.in.: *Dopóki jeszcze* (Warszawa 1976), *W błysku zapalki* (Warszawa 1979), *Pędy i pęta* (Kraków 1984), *Mała kosmogonia* (Kraków 1994), *Epifania słoneczna* (Poznań 1997), *Dom z otwartymi ścianami* (Warszawa 2001), *Taniec z ziemią* (Poznań 2006), *Hymn poranny* (Londyn 2007), *Tylko aż. Only so much* (Rzeszów 2007), *Rondo* (Poznań 2009), *Szczęście w czapce niewidce i 99 nowych wierszy* (Poznań 2015). Autor wielu wyborów wierszy, np. *Borzęcin*, (Borzęcin 2014); jego utwory zostały przetłumaczone na ponad dwadzieścia języków obcych, a on sam otrzymał wiele prestiżowych nagród literackich, m.in.: Nagrodę Fundacji Kościelskich (1980), wyróżnienie amerykańskiego PEN West (2001) za tom polsko-angielski *W błysku. In a Flash*, Nagrodę Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa (2006). Prezentował swoje wiersze w Sztokholmie, Londynie, Glasgow, Kijowie, Dreźnie, Nowym Jorku, Brasili, Sydney. Jest także autorem kilku tomów oryginalnych dzienników: *Koncert dla nosorożca – dziennik poety z przełomu wieków* (Poznań 2005), *Podróże z tej i nie z tej ziemi* (Poznań 2010), *Spadając*

patrzeć w gwiazdy (Poznań 2013). Opatrzono muzyką wiersze Józefa Barana są wykonywane m.in. przez Beatę Paluch, Elżbietę Adamiak, Hannę Banaszak, Mirosława Czyżykiewicza, Jakuba Pawlaka, *Stare Dobre Małżeństwo*. Twórca jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Henryk Cyganik – poeta, dziennikarz, publicysta, satyryk i pisarz; ur. w 1946 r. w Maniowach, zm. w 2005 r. w Krakowie. Wydał kilka tomików wierszy: *Regina* (Tarnów 1989), *Dopiero za pięć dwunasta* (Kraków 1997), *Gryps dla umarłych* (Tarnów 2000), *Biała klinika* (Kraków, Tarnów 2001), *Przeszedłem przez ścianę* (Kraków 2003), *Święty azyl* (Kraków 2004); a także *Anegdoty góralskie* (Rzeszów, Warszawa 2004). Pomysłodawca i współzałożyciel Stowarzyszenia Artystyczno-Literackiego STA-L w Krakowie. Laureat Nagrody Fundacji Kultury Polskiej (2005).

Jerzy Gizella – doktor nauk humanistycznych, poeta, krytyk literacki, tłumacz; ur. w 1949 r. w Krakowie. Jako poeta debiutował w 1969 roku na łamach katowickiego pisma „Poglądy”. Opublikował m.in.: *Wpadanie* (Kraków 1999), *Odkrywanie Ameryki* (Kraków 2001), *Nocna straż* (Warszawa 2001), *Weterani wojny trojańskiej* (Kraków 2002), *Pożegnanie z uproszczeniami. Recenzje i szkice* (Kraków 2003), *Pisarze i kopiaści. Z notatnika recenzenta* (Kraków 2003), *Sytuacje bezgraniczne. Wybór wierszy* (Kraków 2010). Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Aleksander Jasicki – poeta, prozaik, publicysta, wydawca, animator, muzyk; ur. w 1956 r. w Krakowie. Autor tomików poetyckich, m.in.: *Święte drzewa* (Kraków 1999), *Skrzydła*

i inne groźby (Kraków 2000), *OLA B.* – poemat SMS-em (Kraków 2003), *Kobieta z Deneboli. Niedokończony testament* (Kraków 2006), *Lista ginących gatunków. Wybór wierszy* (Kraków 2006), *Teczka zielonego. 22 dowody na współpracę* (Kraków 2008), *Wybacz mi, Bieszczadzie. 101 wierszy „bieszczadzkich”* (Kraków 2008). Członek Stowarzyszenia Twórczego Artystyczno-Literackiego (STA-L) w Krakowie. Członek Stowarzyszenia Autorów Polskich w Krakowie. Założyciel Wydawnictwa WiP „@lsander” w Krakowie.

Wojciech Kawiński – poeta; ur. w 1939 r. w Dębicy. Debiutował na łamach tygodnika „Życie Literackie” jako poeta. W latach 1971–1985 był dyrektorem Estrady Krakowskiej. Opublikował m.in.: *Widok z okna* (Kraków 2002), *Ciało i duch: wiersze nowe i wybrane* (Toruń 2003), *Dwa lata wierszy* (Kraków 2008), *Obrót koła* (Łódź 2008), *Skoro świt* (Łódź 2010), *Słowo po słowie* (Kraków 2012), *Sennik poranny* (Kraków 2015). Był redaktorem miesięcznika „Pismo Literacko-Artystyczne” oraz kwartalnika „Metafora”.

Julian Kornhauser – profesor nauk humanistycznych, poeta, prozaik, krytyk literacki, eseista, tłumacz; ur. w 1946 r. w Gliwicach. Debiutował w prasie w 1967 roku. Opublikował m.in.: *Księżyc jak mandarynka* (Kraków 2003), *Poezja i codzienność* (Kraków 2003), *Origami* (Kraków 2007), *Widok na jezioro. Wiersze z lat 1972–2007* (Kraków 2009), *Antologia* (Warszawa 2013), *Tylko błędy są żywe* (Poznań 2015), *Wiersze zebrane* (Poznań 2016). Współtwórca grupy literackiej „Teraz”. Jest jednym z najbardziej znanych przedstawicieli poetyckiej Nowej Fali z lat 70. XX wieku. Jego twórczość poetycka była publikowana w wielu antologiach XX-wiecznej poezji polskiej wydawanych w Polsce i za granicą; tłumaczono ją na języki obce: angielski,

bułgarski, chorwacki, niemiecki, serbski, węgierski. Laureat Nagrody Kościelskich (1975), Nagrody Poetyckiej im. A. Bursy (1981), Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius” (2016), Międzynarodowej Nagrody Poetyckiej Balatonu (2016).

Krzysztof Lisowski – poeta, pisarz; ur. w 1954 r. w Krakowie. Debiutował w 1972 roku w prasie. W swoim dorobku ma m.in.: *Budzik Platona* (Kraków 2007), *Greckie lustro* (Sejny 2011), *Nicości, znikaj* (Mikołów 2011), *Czarne notesy (o niekonieczności)* (Szczecin 2012), *Poematy i wiersze do czytania na głos* (Poznań 2013), *Zamróż* (Poznań 2016), *Niektóre miejsca na ziemi. Przewodnik wojażera* (Kraków 2017). Zawodowo związany z Wydawnictwem Literackim w Krakowie. Wykłada w Studium Literacko-Artystycznym na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i PEN-Clubu. Laureat m.in. Nagrody im. Andrzeja Bursy (1976), Nagrody Poetyckiej im. Krystyny i Czesława Bednarczyków (2014).

Bronisław Maj – doktor nauk humanistycznych, poeta, eseista, scenarzysta, krytyk literacki, tłumacz, felietonista i satyryk; ur. w 1953 r. w Łodzi. W swoim dorobku ma następujące książki: *Antologia* (Warszawa 2013), *Gołębia, Krupnicza, Bracka* (Kraków 2007), *Elegie, treny, sny* (Kraków 2003), *Wspólne powietrze (1978–1979)* (Kraków 1981), *Album rodzinny* (Kraków 1986), *Zagłada Świętego Miasta* (Londyn 1986), *Zmęczenie* (Kraków 1986), *Światło* (Kraków 1994) i in. Współzałożyciel krakowskiego Teatru KTO. Wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. Laureat Nagrody Kościelskich (1984).

Leszek Aleksander Moczulski – filolog polski, poeta, autor tekstów piosenek; ur. w 1938 r. w Suwałkach, zm. w 2017 r.

w Krakowie. Debiutował jako poeta w 1959 roku. Wydano m.in.: *Dziękczynienia po Komunii Świętej* (Kraków 2006), *Mój przyjaciel kundel rudy* (Kraków 2007), *Krótko biją serca* (Kraków 2007), *Radość miłosierdzia: modlitw naszych Tyś przyczyną, o radości, o Faustyno* (Kraków 2008), *Antologia* (Warszawa 2012), *Kartki na wodzie* (Sopot 2013), *Cała jesteś w skowronkach i inne piosenki oraz pieśni z muzyką krakowskich kompozytorów* (Kraków 2013) oraz *Lśnienia* (Sejny 2018). Był jednym ze współtwórców Teatru STU. Zaliczany jest w poczet prekursorów Nowej Fali w poezji polskiej. Odznaczony Srebrnym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis (2013). Napisał utwory wykonywane m.in. przez Skaldów, Marka Grechutę i Czesława Niemena.

Jerzy Piątkowski – poeta, ur. w 1943 r. w Nowym Brzesku. Opublikował m.in.: *Hołd dla Wenus* (Kraków 2000), *Genetyka w ćwiczeniach: muchy, drożdże, bakterie, wirusy* (Wrocław 2004), *Ars Amatoria* (Kraków 2005), *Rendez-vous z Mona Lisą* (Bochnia, Kraków 2007), *Symposium z głosem Boga: wybór poezji* (Bochnia, Kraków 2008), *Petite Pologne* (Warszawa 2008), *Księga zachwyty* (Bochnia, Kraków 2008), *Magia miłości. Maria Luiza B.* (Niepołomice 2012). Zaliczany jest do współtwórców Nowej Fali, członek grupy literackiej „Teraz”. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Stanisław Stabro – profesor nauk humanistycznych, poeta; ur. w 1948 r. w Świdnicy. Jako poeta debiutował w prasie w 1966 roku. W swoim dorobku ma prace literaturoznawcze i tomy poetyckie, m.in.: *Pożegnanie księcia* (Warszawa 1981), *Dzieci Leonarda Cohena* (Kraków 1984), *Korozja. Wiersze z lat 1982–1984* (Warszawa 1989), *Wiersze wybrane* (Łódź 1989),

Wybór wierszy (Kraków 1995), *Życie do wynajęcia* (Wrocław 1996), *Oko Thery* (Kraków 2008). Członek grupy poetyckiej „Teraz”, jeden z czołowych twórców Nowej Fali, członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Pracuje na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Odznaczony Srebrnym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis (2015).

Krystyna Szlaga – poetka, dziennikarka radiowa, dramatopisarka i tłumaczka; ur. w 1938 r. i zm. w 2016 r. w Krakowie. Opublikowała m.in.: *W pobliżu* (Kraków 1990), *Spotkanie z marniejeńczykiem* (Kraków 1994), *Wybór wierszy* (Kraków 1995), *Północ* (Kraków 1997), *Niebo po Ikarze* (Kraków 2006), *Czas zyskany. Wybór liryki miłosnej* (Kraków 2006), *Poezje wybrane* (Warszawa 2009).

Beata Szymańska – profesor filozofii, poetka; ur. w 1938 r. w Puławach, ale od wielu lat związana z Krakowem. Ma w dorobku książki z dziedziny filozofii (głównie filozofii Wschodu), tom opowiadań i kilka tomów poezji, m.in.: *Sny o porządku* (Kraków 1965), *Szttychy reńskie* (Warszawa 1969), *Trzciny* (Kraków 1970), *Anioły mojej ulicy* (Kraków 2002), *Słodkich snów, Europo!* (Kraków 2005), *Złota godzina* (Kraków 2013), *Koty* (Warszawa 2015). Należy do Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i PEN-Clubu. Otrzymała wiele prestiżowych wyróżnień i nagród za osiągnięcia w dziedzinie nauki i kultury.

Tadeusz Śliwiak – aktor i poeta, autor literatury dziecięcej, dziennikarz, tłumacz; ur. w 1928 r. we Lwowie, zm. w 1994 r. w Krakowie. Debiutował jako poeta w 1947 roku w prasie. Ukały się następujące publikacje jego twórczości: *Lwów – nawyk*

serca i inne wiersze (Kraków 1990), *Uwierzyłem w człowieka* (Kraków 1996), *A to heca* (Kraków 1996), *Nie dokończony rękopis* (Poznań 2002), *Bajkoteka* (Kraków 2010), *Smuga nadziei* (Kraków 2014), *Krakowski szlak Bajkoteki* (Kraków 2016) i in. W latach 1953–1960 aktor Starego Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie, w latach 1960–1963 kierownik literacki Teatru Rozmaitości w Krakowie. Członek Związku Literatów Polskich i Konfraterni Poetów. Napisał utwory śpiewane m.in. przez Marka Grechutę i Skaldów.

Andrzej Krzysztof Torbus – poeta, prozaik, krytyk literacki; ur. w 1950 r. w Sosnowcu. Opublikował m.in.: *Nostalgie* (Kraków 1998), *Miłośniki. Miłosne liryki* (Częstochowa 2001), *Tomek Wskazówka* (Częstochowa 2001), *O toruńskich piernikach i teorii Kopernika* (Częstochowa 2001), *Na skraju lasu jest zielony dom* (Kraków 2006), *Moje wigilie, moje zimy* (Warszawa, Rzeszów 2012), *Trzy pocałunki* (Kraków 2017). Współzałożyciel grupy poetyckiej „Tylicz”. Jego wiersze tłumaczone były na kilka języków obcych.

Andrzej Warzecha – poeta, krytyk literacki, publicysta; ur. w 1946 r. w Nowym Sączu. Poetyckim debiutem książkowym był opublikowany przez Wydawnictwo Literackie w 1975 roku tomik wierszy *Biały paszport*. Współzałożyciel grupy poetyckiej „Tylicz”. Autor książek poetyckich: *Pieniądze dla umarłych* (Warszawa 1987), *Przy rodzinnym stole* (Kraków 1991), *Krótką ballada o wiecznej miłości* (Kraków 1992), *Matka atlety* (Kraków 1995), *Rajski ogród* (Kraków 1996), *Jesień z mostu* (Kraków 1999), *Zaleś na weka* (*Schyłek wieku*, w j. bułgarskim, Bułgaria – Ruse 2000). Za swoją twórczość otrzymał m.in. Nagrodę im. Stanisława Piętaka (1983), Nagrodę Funduszu Literatury (1987).

Elżbieta Zechenter-Spławińska – doktor nauk humanistycznych, poetka, tłumacz, prozaik; ur. w 1935 r. w Krakowie. Opublikowała m.in.: *Czapka niewidka* (Kraków 1996), *Szansa* (Kraków 2000), *Opowieści pod psem* (Kraków 2001), *Pod gwiazdzistym niebem* (Kraków 2004), *Malinowy tort*. Witold Zechenter po latach (Kraków 2007), *Grudka soli pod powieką* (Kraków 2008), *Notatki i sny* (Kraków 2015). Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. Jej teksty śpiewają m.in.: Waweł Jana Wojdaka, artyści Piwnicy pod Baranami i Loch Camelot.

Adam Ziemianin – poeta, pisarz; ur. w 1948 r. w Muszynie. W 1975 roku wydano jego pierwszy tomik pt. *Wypogadza się nad naszym domem*. W ostatnich latach ukazały się m.in.: *Makatki* (Kraków 2005), *Dzikie zapalniczki* (Londyn 2007), *Przymierzanie peruki* (Kraków 2007), *Co za szczęście!* (Rzeszów 2008), *Chory na studnię* (Rzeszów 2008), *Z nogi na nogę* (Rzeszów 2013), *Zakamarki* (Rzeszów 2016), *Okrawki. Opowieść o Isi, Wojtku Bellonie i o tamtym Krakowie* (Kraków 2017). Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Jego twórczość tłumaczono m.in. na język angielski, niemiecki, rosyjski, włoski. Laureat prestiżowych nagród literackich, które otrzymał za tomy poetyckie (m.in. Nagroda im. Anny Świrszczyńskiej czy Nagroda im. Stanisława Piętaka). Liczne utwory poetyckie Ziemianina były wykonywane w wersji śpiewanej przez m.in.: Stare Dobre Małżeństwo i Krzysztofa Myszkowskiego, Elżbietę Adamiak, Jacka Wójcickiego, Wolną Grupę Bukowina, U Studni.

SPIS TREŚCI

MAREK KARWAŁA

Kraków „dał im skrzydła” 5

ALICJA BALUCH

Rosja pogrążona w żałobie 31

Nie będzie wiosny 32

*** (*Nigdy cię nie poznałam...*) 34

Zwycięstwo dokonało się raz na zawsze 36

Lwów jest za Bramą Floriańską 38

Dokąd? Kiedy? I po co? 39

JÓZEF BARAN

Czułość 40

Krótką adoracją królewskiej lipy 42

Ballada o rozstaniu 43

Gra w niebo i piekło 44

Przeprawa 46

Dejavu 47

HENRYK CYGANIK

z Gałczyńskiego 50

*** (*jesteśmy tą trójką...*) 52

modlitwa górską 53

polityka 54

pożegnanie 56

azyl 58

JERZY GIZELLA

Alegoria 60

Brzydcy osiemnastoletni 62

Słowa, które dawniej płonęły 64

Wykład o metaforze w Toronto 66

Stołeczne królewskie miasto Kebab 67

Rekonstrukcja 68

ALEKSANDER JASICKI

Matczyna ikona 70

Erem na Bielanych 71

Erotyk liryczny 72

Krew Bieszczadu 73

Plac w Bagdadzie (szesnastoletni pociągnie za sznurek...) 74

Wierni ciału 76

WOJCIECH KAWIŃSKI

Ars poetica 77

Śni się, albo i nie 78

Dwa wymiary; bez jednej możliwości – 80

Starzec opisuje nowe – 82

Napis wewnętrzny 84

Zasłużony odpoczynek – 86

JULIAN KORNHAUSER

Urząd poezji 87

On 88

Przy głównej ulicy 89

Forma 90

Żydowska piosenka 92

Guzik 94

KRZYSZTOF LISOWSKI

- Wypisy z herbarza 95
Wspomnienie o nas 96
Epitaforium dla Józefa Węgrzyna 97
Podziękowanie 98
List 13; w sprawie znanego Wypadku 99
Traktat o niekonieczności 100

BRONISŁAW MAJ

- *** (*Wychodząc rano, niby przypadkiem...*) 106
*** (*Dlaczego nie ma Cię dla mnie...*) 107
*** (*Wieczorem na Dworcu Głównym w Krakowie...*) 108
Powrót 109
*** (*Za oknem deszcz...*) 110
Z Siergieja Jesienina 111

LESZEK ALEKSANDER MOCZULSKI

- Jej nigdy za późno 112
Dzień zaczyna się nagle 113
Stałem nad jeziorem w bramie poranku 114
Bez tchu 115
Lśnienie 116
Podpowiedz mi dobrą rolę 118

JERZY PIĄTKOWSKI

- Wybór najwyższego kapłana Jana Pawła II 120
Lęk czuwania 122
Okrutna pamięć 124
Gwiazda dobrej nadziei 127
Władcy umysłów 128
My tej nocy... 130

STANISŁAW STABRO

- *** (*Gdzie ta lanca i trąbka...*) 132
Pokolenie 134
Gorycz pisania 135
Otto Schimek 136
*** (*Najgłupszy, najnaiwniejszy z narodów Ziemi...*) 137
Mówią że ciebie już nie ma 138

KRYSTYNA SZLAGA

- Ziemia 140
*** (*Kto zaznał okrucieństwa życia...*) 142
Wilk o miłości 143
Pamiętaj żeś synem żebraka 144
Dano mi 146
*** (*To odrzucone...*) 148

BEATA SZYMAŃSKA

- Pobłogosław mnie odrobiną dziwactwa. 149
Rano na Grodzkiej 150
Jesienne odloty 152
Odmawiam 154
Im mniej będzie mnie, tym więcej świata 155
Mowa 156

TADEUSZ ŚLIWIAK

- Umowa z Bogiem 157
Antygona wołyńska 158
Dom starego poety 159
W młynie wesele 161
Listy 162
Nie dokończony rękopis 163

ANDRZEJ KRZYSZTOF TORBUS

*** (*Daj Boże maku pełne pole...*) 164

Tylicz 165

Powrót 166

Ballada o rodzicach 167

Nocny spacer 169

Litania 171

Serie 191

Stacja druga 193

Biogramy 194

ANDRZEJ WARZECHA

Gdy zgaśnie telewizor 172

Negatyw 173

Spowiedź szewca 174

Nekropolia poetica 175

Powroty 177

Słowo po słowie 178

ELŻBIETA ZECHENTER-SPŁAWIŃSKA

*** (*Ciągnę za sobą...*) 179

Zabawa w chowanego 180

Kropła po kropelce 181

Szczęście 182

Grzech pierworodny 183

*** (*Jeżeli składamy się...*) 184

ADAM ZIEMIANIN

Rodzina 185

Moje podwórko 186

Czasem z wami mówię 187

Czarny blues o czwartej nad ranem 189

© Copyright by Biblioteka Kraków, 2018

Redaktor prowadzący: Anna Gregorczyk

Projekt graficzny, skład: Elżbieta Szurpicka

Fotografia na okładce: Krzysztof Lis

Adiustacja i korekta: Magdalena Jankosz

Przygotowanie do druku: Wydawnictwo Fall

Wydawca:

Biblioteka Kraków

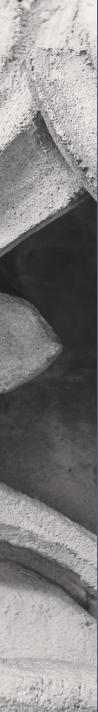
Pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3

31-154 Kraków

www.biblioteka.krakow.pl

tel. +48 12 61 89 100

ISBN: 978-83-949508-1-1



Tytułowa parafraza zwrotu wziętego z *Pieśni X (Ksiąg pierwszych)* mistrza z Czarnolasu – Kraków „dał im skrzydła”, którą opatrzona została niniejsza antologia – zdaje się dobrze oddawać istotę rzeczy, chodzi bowiem o poetów, których wiersze wyrosły na krakowskiej glebie... Właśnie – wiersze, bo przecież najczęściej nie oni sami. Ich życiorysy mogłyby być niejednokrotnie kanwą interesującego scenariusza; przybyli do królewskiego grodu z rozlicznych zakątków naszego kraju (także z kresów dawnej Rzeczypospolitej) z powodu uwarunkowań rodzinnych, po naukę i z wielu innych przyczyn, a skosztowawszy wody z bijącego tu lirycznego Hippokrene, sięgnęli po pióra. Zwykło się mawiać, że Kraków promieniuje niepowtarzalną magią, że zachęca do kreatywności, że stąpanie po jego historycznych brukach i przemieszczanie się pośród kamienic, z których niemal każda skrywa jakąś tajemnicę..., krótko mówiąc – poddanie się jego urokowi i niepowtarzalnemu *genius loci* czyni z otwartego, wrażliwego człowieka istotę twórczą, „daje mu skrzydła”.

Marek Karwala
Fragment wstępu